

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nr 9/2016

DODATEK SPECJALNY

Redakcja:
Wojciech Pięciak

ŻOŁNIERZE WYKŁĘCI OPOWIEŚCI NAJMŁODSZYCH

Danuta Siedzikówna, ps. „Inka” (z lewej) wraz z koleżanką. Podlasie, zima 1945 roku. 17-letnia „Inka”, sanitariuszka AK, została rozstrzelana w sierpniu 1946 r. jako jedna z najmłodszych osób skazanych na śmierć przez komunistyczne sądy.

FOT. N.N. ZBIORY CÓRKI WIESŁAWY KORZENIOWSKIEJ Z DOMU SIEDZIK / IPN

Dodatek powstał we współpracy
z Instytutem Pamięci Narodowej



**INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ**

Drogą Polski Walczącej

ŁUKASZ KAMIŃSKI

Powojenne podziemie nie było tylko reakcją na nowe zniewolenie. Przede wszystkim było kontynuacją, także ideową, Polski Podziemnej. Do tego dziedzictwa nawiązywali również najmłodszy jego uczestnicy.

Książd Stanisław Kluz, autor pierwszej książki poświęconej Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość, nadał jej podtytuł „WiN na szlaku AK”. W tym krótkim zdaniu zawarta jest podstawowa prawda o tych, którzy po 1944-45 r. zdecydowali się na konspiracyjną walkę z nowym/starym okupantem.

Spójrzmy bowiem na kilka choćby życiorysów. Najpierw – tych starszych wiekiem (a w każdym razie – starszych w zestawieniu z tymi najmłodszymi, o których za chwilę).

Oto kapitan Stanisław Sojczyński, ps. „Warszyc”: urodzony w 1910 r., chłopski syn spod Radomska, z zawodu nauczyciel. Uczestnik walk obronnych w 1939 r., potem organizator lokalnych struktur Służby Zwycięstwu Polski, Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej, właśnie w regionie rodzinnego Radomska, dowódca oddziału partyzanckiego. Odnaczony Virtuti Militari. W 1945 r. zostanie twórcą Konspiracyjnego Wojska Polskiego – organizacji złożonej głównie z byłych akowców (oraz z ludzi, którzy wcześniej, pod niemiecką okupacją, byli zbyt młodzi, aby walczyć). Stracony w lutym 1947 r.

Albo: podpułkownik Łukasz Ciepliński, ps. „Pług”: urodzony w 1913 r. Podobnie jak Sojczyński, we wrześniu 1939 r. jest młodym oficerem (dowódcą kompanii). Odnaczony Virtuti Militari, oficer Związku Walki Zbrojnej i AK, po zajęciu Polski przez Sowieców kontynuuje walkę o niepodległość w organizacji „NIE”, w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj, wreszcie w Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość; jest prezesem ostatniego IV Zarządu Głównego tej organizacji. To właśnie dzień śmierci Cieplińskiego i jego współtowarzyszy w więzieniu mokotowskim 1 marca 1951 r. jest dziś obchodzony jako Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

Dalej: kapitan Henryk Flame, ps. „Bartek”: urodzony w 1918 r., w wojnie obronnej 1939 r. walczy jako pilot. W konspiracji służy najpierw w AK, a następnie w NSZ. Po 1945 r. dowódca zgrupowania partyzanckiego, ujawnia się w czasie amnestii, a mimo to zostaje zastrzelony przez milicjanta w grudniu 1947 r.

I wreszcie ten ostatni: Józef Franczak, ps. „Laluś” – urodzony w 1918 r. We wrześniu 1939 r. podoficer żandarmerii, w czasie okupacji w szeregach ZWZ i AK, po wojnie partyzant WiN. Po rozbiciu jego organizacji ukrywa się i walczy wraz z topniejącą grupką towarzyszy, a na końcu już tylko samotnie. Zabity jako ostatni „żołnierz wyklęty” w październiku 1963 r.

Młodzi, najmłodszy

I jeszcze kilka nazwisk z długiej, wielotysięcznej listy – nazwisk ludzi najmłodszych, którym poświęcony jest głównie ten dodatek „Tygodnika”.

Oto Danuta Siedzikówna, ps. „Inka”: urodzona w 1928 r. na Podlasiu, w powiecie Hajnówka. Po śmierci rodziców – ojciec, wyniszczony sowieckimi łagrami, umiera w Iranie, dokąd ewakuował się z armią Andersa; matka, konspiratorka, zostaje zamordowana przez białostockie Gestapo – wstępuje do AK jeszcze jako nastolatka. Od czerwca 1945 r. jest sanitariuszką w szeregach 5. Wileńskiej Brygady AK. Skazana na śmierć przez komunistyczny sąd, zostaje stracona w sierpniu 1946 r. – na kilka dni przed osiemnastymi urodzinami.

Dalej: Henryk Bąk, ps. „Burza”. Urodzony w 1930 r., w 1948 r. zakłada konspiracyjną organizację Polska Szturmówka Chłopska. W 1952 r. aresztowany, zostaje skazany na czterokrotną karę śmierci (sic!), zamienioną następnie na dożywocie. W 1957 r. warunkowo zwolniony. W kolejnych dekadach zostanie działaczem opozycji chłopskiej, w stanie wojennym będzie internowany. W latach 1991-93 wicemarszałek Sejmu, zmarł w 1998 r.

Kolejny osiemnastolatek: Adam Pleśnar. Urodzony także w 1930 r., w 1948 r. jest współtwórcą młodzieżowej organizacji antykomunistycznej „Krucjata”. Skazany na 1,5 roku więzienia. Potem członek Związku Młodych Demokratów – młodzieżowej organizacji, opozycyjnej wobec władz PRL, istniejącej w latach 1955-58. W latach 60. znowu skazany, i to dwukrotnie, członek Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz Ruchu Wolnych Demokratów.

W stanie wojennym internowany, zmarł w 2013 r.

I na koniec: Hipolit Rożnowski, ps. „Cichy”, najmłodszy w gronie tutaj wymienionych – urodzony w 1932 r. W 1950 r. współzałożyciel konspiracyjnej organizacji młodzieżowej Polska Organizacja Podziemna. Stracony w październiku 1952 r.

Wspomniane wyżej osoby reprezentują dwa nurty powojennej konspiracji, określane niekiedy jako „dorosły” i „młodzieżowy”. Wielokrotnie zazębiały się one ze sobą. Patrząc na ich daty urodzenia, różniące się o dziesięć-kilkanaście lat, widzimy, że mówić powinniśmy raczej o młodszych braciach (i siostrach) niż o kolejnym pokoleniu.

Zdecydowaną większość spośród tych, którzy włączyli się w działalność antykomunistycznego ruchu oporu w latach 1944-1947, stanowili uczestnicy wcześniejszej wojennej konspiracji. Dominowali wśród nich przedstawiciele Polskiego Państwa Podziemnego, wielu było też reprezentantów struktur obozu narodowego, niepodporządkowanych władzom Polski Walczącej.

Naturalną kolejną rzeczą nie tylko wykorzystywano więc dotychczasowy potencjał organizacyjny, lecz także odwoływano się do ideałów i wartości z czasów II wojny światowej. Jak pisał w jednej ze swoich odezw wspomniany „Warszyc”: „Nowy rok 1946 jest kontynuowaniem walki o te same wielkie cele, za które przelewał krew żołnierz polski na własnej ziemi w 1939 roku i w ciągu długiej wojny, na odległych polach poboju Zachodu, w ojczystych lasach jako partyzant, w stolicy swego państwa jako powstaniec, w obozach kaźni jako polityczny więzień. Zmienia się tylko sytuacja, zmieniają formy i taktyka walki, zmieniają się powiązania zespołów organizacyjnych, ale walka trwa, bo trwać w imię zapewnienia zwycięstwa prawdzie i sprawiedliwości musi”.

Tymczasem w 1947 r. dotychczasowa aktywność podziemia uległa załamaniu. Wpłynęły na to sfałszowane wybory do Sejmu ze stycznia 1947 r., które odebrały nadzieję na zmianę sytuacji, masowe ujawnienia żołnierzy podczas amnestii ogłoszonej przez komunistów 22 lutego 1947 r., wresz-



Powyżej: żołnierze 4. szwadronu z 5. Wileńskiej Brygady AK. Białostoccyzna, lato 1945 r.

Pierwsza z lewej w dolnym rzędzie Danuta Siedzikówna.

U dołu: Marek Odyn-Jankowski „Marek”, Danuta Siedzikówna „Inka” i Bogdan Obuchowski „Zbyszek”.

Pomorze, wiosna 1946 r.

cie rozbić ostatniej ogólnopolskiej struktury – IV Zarządu Głównego WiN. W lasach pozostały jedynie topniejące szybko grupki partyzantów, walczących bardziej o przetrwanie niż o obalenie reżimu.

Nie znamy pełnej listy

W tej sytuacji pod koniec lat 40. na plan pierwszy wysunęło się pokolenie „młodszych braci” – i z roku na rok zaczęło powstawać coraz więcej młodzieżowych organizacji konspiracyjnych. Ich prawdziwy wysyp nastąpił po likwidacji przez władze

komunistyczne w 1949 r. niezależnego harcerstwa. Dziś historycy znają blisko tysiąc takich grup, a nie jest to wciąż pełna lista.

Bardzo wiele z nich odwoływało się do tradycji Polski Podziemnej – i to już w momencie wyboru nazwy swojej organizacji. Licznie pojawiały się więc w nich odniesienia do Armii Krajowej i Polski Walczącej, a także nawiązania do Szarych Szeregów, Zrzeszenia WiN i Narodowych Sił Zbrojnych.

Część z tych grup gromadziła broń, niektóre podejmowały próby walki zbrojnej. W większości jednak skupiano się na samo-

„Inka” odnaleziona

20 LIPCA 1946 do gdańskiego więzienia przy ul. Kurkowej przywieziono więźnia specjalnego i przydzielono mu osobną celę.

Niewykle było to, że więzień był szczupłą, ładną dziewczyną.

Po 13 dniach parodii „śledztwa” i „sądu” Danuta Siedzikówna ps. „Inka” została skazana na śmierć.

W AK została zaprzysiężona, gdy miała 15 lat (była już wtedy sierotą); odbyła kurs sanitariuszek. W czerwcu 1945 r. została aresztowana przez NKWD i UB wraz ze wszystkimi pracownikami nadleśnictwa Narewka koło Hajnówki, gdzie pracowała. Podczas ataku na konwój, dokonany przez miejscowy oddział AK, udało jej się zbiec. Trafiła do 5. Wileńskiej Brygady AK mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”, działającej w Białostockiem, a potem na Pomorzu. Została aresztowana przez UB, gdy pojechała do Gdańska po materiały opatrunkowe, na skutek dekonspiracji lokalu kontaktowego.

„Inka” była jedną z najmłodszych osób, skazanych wtedy na śmierć i zamordowanych: miała 17 lat. 28 sierpnia 1946 r. o godzinie szóstej rano dziesięciu żołnierzy KBW uczestniczących w egzekucji oddało z odległości trzech metrów strzały do niej i Feliksa Selmanowicza, także żołnierza „Łupaszki”. Mimo to oboje jeszcze żyli – zostali dopiero dobitci strzałami w głowę przez dowódcę plutonu egzekucyjnego. Przebieg egzekucji znany jest z relacji, jaką w gdańskim IPN złożyli żyjący wtedy jeszcze jej świadkowie, w tym ksiądz, któremu pozwolono dziewczynę wypowiadać. Miejsce zakopania zwłok Siedzikówny i Selmanowicza zostało przez UB utajnione. Ekipa poszukiwawcza IPN odnalazła ich szczątki w sierpniu 2014 r. na gdańskim cmentarzu Garnizonowym. Historię „Inki” opisaaliśmy w „Tygodniku” nr 35/2014 (tekst dostępny jest na stronie internetowej). © WP

kształceniu i działaniach nawiązujących do „małego sabotażu” z czasów okupacji niemieckiej: malowano napisy na murach, ukotwicę Polski Walczącej, kolportowano ulotki, niszczone komunistyczne symbole.

Młodych więźniów politycznych wkrótce było tak wielu, że władze zdecydowały się stworzyć dla nich specjalne więzienie. W 1951 r. na terenie dotychczasowego Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie (wcześniej, przed 1945 r., była to filia KL Auschwitz) utworzono tzw. Progressywne Więzienie dla Młodocianych Przeszpeców. Pierwszy człon nazwy oddawał płonę →

→ nadzieje komunistów, że przy pomocy pracy przymusowej i indoktrynacji zdołają przekonać młodych konspiratorów do zmiany poglądów.

Przez więzienie to przeszło wiele tysięcy młodych mężczyzn (młode kobiety trafiały do osobnego więzienia, w Bojanowie). Wykonywali prace przymusowe, najcięższe – w tym w kopalniach, także tych najbardziej zagrożonych, gdzie częste były wypadki.

Nie znamy pełnej listy uczestników wojennego podziemia niepodległościowego. Badacze szacują, że w różne formy działalności konspiracyjnej angażowało się wtedy do 180 tys. osób. Tysiące z nich zginęły lub zostały zamordowane, dziesiątki tysięcy przeszły przez więzienia i obozy pracy przymusowej.

Pożegnanie

„Najdroższy Synu! Kreślę tych ostatnich parę słów i żegnam się, aż do zobaczenia się na tamtym świecie, bo za chwilę odchodzę do Boga. Jestem skazany na śmierć i wyrok za chwilę będzie wykonany. Bądź dobrym Polakiem. Kochaj Polskę. Bądź posłuszny starszym. Słuchaj swoich opiekunów i bądź posłuszny matce. Tyle, co mogę w tych paru słowach skreślić do Ciebie. Odchodzę w zaświaty. To, co pozostawiam na tym świecie najdroższego, to Polskę i Ciebie. Najdroższy. Przepraszam matkę, [niech] mi ona daruje za wszystko. Całuję Was wszystkich już raz ostatni”

– napisał w grypsie, wystanym z więzienia tuż przed egzekucją, 42-letni Feliks Selmano-wicz „Zagończyk”. Rozstrzelano go 28 sierpnia 1946 r., wraz z Danutą Siedzikówną.

Niepisany wyrokiem komunistycznej władzy wszyscy oni byli także skazani na zapomnienie.

Koniec i początek

Przywracanie pamięci rozpoczęło się wraz z pojawieniem się Solidarności. Wtedy to w niezależnym obiegu wydawniczym zaczęły pojawiać się pierwsze publikacje, poświęcone bohaterom antykomunistycznego ruchu oporu. Potem, już w latach 90., pojawiło się określenie „Żołnierze Wyklęci” – spopularyzowane przez wystawę Ligi Republikańskiej, książkę Jerzego Ślaskiego pod takim właśnie tytułem oraz album wydany przez wydawnictwo Volumen. Nadal była to jednak historia znana tylko nielicznym, prawie nieobecna w przestrzeni publicznej.

Sytuacja zmieniła się wraz z powstaniem Instytutu Pamięi Narodowej. W IPN pracę rozpoczęła znakomita większość znawców tej problematyki, w archiwach Instytutu znalazła się kluczowa dokumentacja. Obok wielu innych prac naukowych i projektów edukacyjnych na szczególne wyróżnienie zasługuje wieloletni wysiłek, który w początkach 2007 r. zaowocował wydaniem „Atlasu Polskiego Podziemia Niepodległościowego 1944–1956”. Kolejne przełomowe wydarzenia to program dokumentacyjny „Śladami zbrodni” oraz projekt poszukiwań miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego [patrz rozmowa z prof. Krzysztofem Szwagrzykiem – red.].

W 2011 r. po raz pierwszy obchodziliśmy 1 marca Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Później, w przeciągu zaledwie kilku lat, to święto stało się prawdziwym fenomenem, uwalniając na ogromną skalę różne formy społecznej aktywności, także wśród ludzi młodych. Współorganizatorem setek wydarzeń jest tu Instytut Pamięi Narodowej. Dzień ten jest wyjątkową okazją do przypomnienia ideałów i wartości pokolenia Polski Walczącej.

Warto zatem pamiętać, że droga, której symbolicznym końcem jest dziś śmierć Józefa Franczaka 21 października 1963 r. w milicyjnej obławie, rozpoczęła się 27 września 1939 r., wraz z powołaniem pierwszej struktury Polskiego Państwa Podziemnego – Służby Zwycięstwu Polski. ©

DR ŁUKASZ KAMIŃSKI

Autor jest historykiem, prezesem IPN. Opublikował szereg książek o powojennych dziejach Polski, m.in. „Strajki robotnicze w Polsce w latach 1945–1948”, „Polacy wobec nowej rzeczywistości 1944–1948”, „Przed i po 13 grudnia: państwa bloku wschodniego wobec kryzysu w PRL 1980–1982” (redaktor). Inicjator międzynarodowej współpracy naukowej dotyczącej najnowszych dziejów Europy Środkowo-Wschodniej.

V KRAKOWSKIE OBCHODY NARODOWEGO DNIĄ PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH
W RAMACH FESTIWALU WOLNEJ I NIEZAWISŁEJ

KONCERT GALOWY W HOŁDZIE ŻOŁNIERZOM WYKLĘTYM

GOŚĆ SPECJALNY
KATY CARR
WWW.KATYCARR.COM

28.02.2016
GODZ. 19.00
AUDITORIUM MAXIMUM UJ
UL. KRUPNICZA 33





JOHANNES WIERZBOCZ, skrzypce
Tomasz Chmiel, skrzypce i gitara
Maciej Dziukowski, saksofon
Mateusz Prawdota, bas
Marek Pawełek, perkusja i gitara

ORKESTRA PASSIONARI
PUERTO CANTERES SANCIO JOSEPH
CHÓR AKADEMICKI UJ CAMERATA JAGIELLONICA
CHÓR DOMINANTA UJ
CHÓR MIĘSKI AGRICOLA KRAKOWSKIEGO
SRODOWISKA AKADEMICKIEGO
CHÓR MIESZANY UNIWERSYTETU ROLNICZEGO
CHÓR PSALMODIA OPJP II W KRAKOWIE

MOTYWOWANE GOŚCI
Jolanta Gutowska-Kulmacz
Małgorzata Lampert-Kubiś
ks. Piotr Badziakowski, Oleg Szmal
Katarzyna Szmajkowska

ORGANIZATOR
Natalia Tokarczyk
Mateusz Prawdota

WIEKSIŃKA
WWW.PASSIONARI.ORG.PL
WWW.IPN.GOV.PL
INFO@PASSIONARI.ORG.PL

W PROGRAMIE:
Otwory z płyty PASZPORT I POLONIA
w aranżacji symfonicznej
Polskie pieśni
patriotyczne i partytaniczne

INTERWJEW I KONTAKTY
28 WRZESIEŃ 39

OPRACOWANIE MOTYWOWANE
ODZIAŁ INSTYTUTU PAMIĘCI
NARODOWEJ W KRAKOWIE

KONTAKT I PROGRAM
Słownictwo PASSIONARI
PODZIAŁ KONTAKTOWY I KONTAKTOWY
PACIENKOWA 10/14 01-652 0000 W KRAKOWIE
STAN WARSZAWY 01-652 000000 „JEDY”
FUNKCJA 01-652 000000 W KRAKOWIE

WIEKSIŃKA
ZAPROSZENIA DO WYSTĘPÓW W KRAKOWIE
KONTAKTOWY I KONTAKTOWY
PACIENKOWA 10/14 01-652 0000 W KRAKOWIE
STAN WARSZAWY 01-652 000000 „JEDY”
FUNKCJA 01-652 000000 W KRAKOWIE

WIEKSIŃKA
ZAPROSZENIA DO WYSTĘPÓW W KRAKOWIE
KONTAKTOWY I KONTAKTOWY
PACIENKOWA 10/14 01-652 0000 W KRAKOWIE
STAN WARSZAWY 01-652 000000 „JEDY”
FUNKCJA 01-652 000000 W KRAKOWIE

SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
PRZYJAM UCHWAŁĄ O USTANOWIENIU
DNIEM 2016 „DNIEM ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH”



PIOTR GAJEWSKI / IPN

Uroczystości pogrzebowe 35 żołnierzy powojennego podziemia, których szczątki znaleziono na tzw. Łączce na Powązkach. Warszawa, plac Piłsudskiego, 27 września 2015 r.

Nasza ludzka powinność

DR HAB. KRZYSZTOF SZWAGRZYK, PEŁNOMOCNIK PREZESA IPN DS. POSZUKIWAŃ OFIAR KUNIZMU:

Te masowe doły śmierci, splecione ze sobą szczątki, przestrelone czaszki – wszystko to więcej mówi o komunizmie niż najsolidniejsze książki historyczne.

KRZYSZTOF PIĘCIAK: Dlaczego zajęli się Pan szukaniem miejsc, gdzie pochowane są ofiary komunizmu z okresu powojennego?

KRZYSZTOF SZWAGRZYK: Jak to czasem bywa, zadecydowało jedno wydarzenie, które, co się później okazało, wpłynęło na moje życie. Był rok 1990. Na cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu odsłanialiśmy pomnik ofiar komunizmu lat 1945-56: ludzi, których zamęczono w więzieniu przy ul. Kleczkowskiej oraz w innych miejscach Wrocławia i pogrzebano na kwaterach 81a i 120 tego cmentarza. Przyszły tysiące ludzi. Pomnik był piękny, składał się z rozrzuconych w artystycznym nieładzie ponad stu kamiennych krzyży, które pokryły teren obu kwater. Pomyślałem wtedy, że włożyliśmy tyle wysiłku w budowę tego pomnika, a jednak krzyże stawiamy tylko symbolicznie. Czemu nie wykonujemy dalszego kroku, czemu ich nie szukamy?

Co się stało potem?

Podjęliśmy pierwszą próbę gromadzenia informacji o osobach, które zostały zamordowane we Wrocławiu i pogrzebane

na cmentarzu Osobowickim. Zaczęliśmy też myśleć o ekshumacjach, ale wtedy, w latach 90., nie było takiej możliwości. Pojawiła się dopiero, gdy powstał IPN. Ale to nie było tak, że to IPN narzucił ten projekt i wyznaczył mnie do niego. Było odwrotnie: to ja zaproponowałem rozwiązania, które potem mogły być zrealizowane, już z ramienia IPN.

Pamięta Pan pierwszego, które znaleźliście?

Pierwsze szczątki znaleźliśmy jesienią 2003 r., właśnie na cmentarzu Osobowickim. To był kapitan Włodzimierz Pawłowski, ps. „Kresowiak”, skazany i zamordowany w 1953 r. W chwili śmierci miał 41 lat [podczas okupacji niemieckiej żołnierz Batalionów Chłopskich, po 1945 r. działacz PSL; na Dolnym Śląsku dowodził organizacją Rzeczpospolita Polska Walcząca – red.].

Nie było nikogo, kto by wcześniej zajmował się takimi poszukiwaniami?

To był mój autorski projekt. W pewnym momencie działania, które realizowaliśmy, wyszły poza pojedyncze prace poszukiwaw-

cze i ekshumacyjne. To był już czas, gdy realizowaliśmy poszukiwania setek osób w Polsce. W efekcie, kiedy w 2011 r. zostałem formalnie pełnomocnikiem, mieliśmy już odnalezionych sto kilkadziesiąt szczątków w całym kraju. Wyznaczenie mnie na pełnomocnika nie było więc podjęciem czegoś nowego, lecz raczej usankcjonowaniem istniejącej sytuacji. Wcześniej, od 2003 r., prace poszukiwawczo-ekshumacyjne realizowaliśmy na terenie Wrocławia, Opola, Dzierżonowa, Jawora, Szczecina.

My, czyli kto?

Mówię w liczbie mnogiej, bo od początku pracujemy jako zespół, do którego należą specjaliści z różnych dziedzin. To archeolodzy, medycy sądowi, antropolodzy, archiwiści. Z czasem doszli też genetycy. Nazywamy to „metodą wrocławską”: prace prowadzi zespół, w którym każdy specjalista odpowiada za swoją część zadań.

Na czym polega ta metoda?

Zanim zaczniemy prace archeologiczne, przeszukujemy różne materiały archiwalne, np. więzienne, sądowe, ubeckie itd. →

→ Szukamy też świadków czy relacji. Zbieramy dane o poszukiwanych: o czasie i miejscu śmierci, dane antropologiczne. Gdy więc przystępujemy potem do wyznaczania terenu pod działania poszukiwawcze, wiemy już wiele. Później następuje przygotowanie do prac archeologicznych, tj. analiza badań gruntowych, map, zdjęć lotniczych, georadarowych. Dopiero kolejny etap to prace ziemne. Z różnym skutkiem. Czasem analiza jest błędna. Ale w większości przypadków okazuje się, że prace przygotowawcze były rzetelne.

Kto uczestniczy w ekshumacji?

Na miejscu zawsze są z nami medycy sądowi i antropolodzy. Odbывают się badania szczątków i pobieranie materiału genetycznego, który potem może być porównany z materiałem od osób spokrewnionych z ofiarami. W tej chwili w skali kraju kilkakrotnie osób oddało materiał genetyczny do takich celów porównawczych, jest on gromadzony w centralnej bazie danych. Potem następuje identyfikacja genetyczna. Tak to wygląda w skrócie.

Jaki jest dziś bilans poszukiwań?

Przebadaliśmy ponad 20 miejsc w całym kraju, ogromna większość kryła szczątki ludzkie. Łącznie odnaleźliśmy ok. 700 szczątków, z których ok. 50 zidentyfikowano już genetycznie. Najbardziej znane miejsce to kwatery „Ł” na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. To zresztą nie jedyne miejsce na Powązkach kryjące ofiary. W Warszawie prowadziliśmy też poszukiwania na cmentarzu Bródnowskim i słynnym Służewiu przy ul. Wałbrzyskiej. Inne miejsca najbardziej znane, gdzie prowadziliśmy prace, to Wrocław, Kraków, Rzeszów, Białystok, Gdańsk, Szczecin, Poznań. Teraz przed nami znów pracowity rok.

20 miejsc to chyba dopiero początek?

Po 1945 r. istniało 17 wojewódzkich i ok. 285 powiatowych filii Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, a znawcy tematu twierdzą, że każdy urząd wojewódzki i wiele powiatowych miało „własne” miejsca, gdzie anonimowo chowano ofiary. Możliwe jest znalezienie i zbadanie wszystkich?

Rzeczywiście, w każdym mieście wojewódzkim i prawie każdym powiatowym były miejsca, gdzie funkcjonariusze UB grzebali swe ofiary. Charakterystyczne w przypadku urzędów powiatowych było to, że często ubecy chowali zwłoki na dziedzińcach wewnętrznych lub zaraz przy budynkach, które zajmowali, np. na terenie ogrodów, garaży, magazynów. Jeśli zaś mówimy o urzędach wojewódzkich, tu skala pochówków jest większa. Ludzie umierali w aresztach lub

byli mordowani dziesiątkami, czasem setkami, dziesiątki zwyczajnie nie wystarczały. Dlatego w miastach wojewódzkich ukrywano szczątki na zwykłych cmentarzach, a także pod miastami, np. na poligonach czy w lasach, w miejscach trudno dostępnych.

Czy te pochówki jakoś rejestrowano?

Używamy tu słowa „pochówek”... Miejmy jednak świadomość, że jest niewłaściwe. Słowo „pochówek” znaczyłoby, że ci, którzy zabijali, układali ofiarę w grobie z zachowaniem pewnego szacunku. Tymczasem mówimy o praktykach, jakie można przypisać mordercy, który chce ukryć ciało ofiary. Bo zwróćmy uwagę: chowano ich tak, że ślad po ofiarach miał zagać. Robiono w tej materii naprawdę wiele. Zwykle nie wpisywano zamordowanych do dokumentacji, np. cmentarnej. Dlatego musimy wszystko ustalać na podstawie innych dokumentów czy relacji.

O jakiej skali zjawiska mówimy?

Choć mamy za sobą ćwierć wieku wolnej Polski, nadal nie umiemy precyzyjnie odpowiedzieć na pytanie, ile osób przeszło przez więzienia i areszty bezpieki w latach 1944-56. Może trudno sobie wyobrazić, że to możliwe, ale to fakt. Nie potrafimy też powiedzieć dokładnie, ile orzeczono i wykonano wyroków śmierci. Ani ile dokładnie osób zginęło, jako żołnierze powojennego podziemia – dziś mówimy: Żołnierze Wyklęci – w walce z jednostkami UB, KBW, wojska czy także NKWD. Ciągłe poruszamy się w sferze szacunków. Mam nadzieję, że to się w końcu zmieni.

Prezes IPN Łukasz Kamiński mówił w rozmowie z „Tygodnikiem”, że „projekt poszukiwań i ekshumacji postawił w sferze publicznej kwestię oceny komunizmu jak nigdy dotąd”. Czy ta praca zmieniła Pana spojrzenie na okres powojenny, czy tylko potwierdziła wcześniejsze Pana poglądy?

Kiedyś sądziłem, że dobrze znam skalę funkcjonowania aparatu terroru czy represji po 1944-45 r. Ale prace poszukiwawcze i ekshumacyjne sprawiły, że zobaczyłem obrazy, o których nie mówią żadne dokumenty. Te masowe doły śmierci, ta nieprawdopodobna liczba ludzi wrzuconych do nich bez żadnego szacunku, splecione ze sobą, niemal zrośnięte szczątki, przestrelone czaszki – wszystko to mówi więcej o komunizmie i ludziach, którzy tworzyli ten system, niż wiele najsolidniejszych nawet księzek. Mam wrażenie, że wiedza o komunizmie, jaką miałem, była wiedzą papierową, a tę rzeczywistość poznaję dopiero teraz.

Czy okoliczności jakiejś ekshumacji zrobiły na Panu szczególne wrażenie?

Było wiele takich momentów. Nie potrafiłbym wskazać jednego, najważniejszego. Na pewno ważne były dla mnie badania na wrocławskim cmentarzu Osobowickim: w końcu, 22 lata po tamtej uroczystości z 1990 r., doprowadziliśmy do tego, że te pola przestały być bezimienne. Znaleźliśmy prawie 300 szczątków, wiele zidentyfikowaliśmy. Krzyże z nazwiskami można było już postawić w rzeczywistych miejscach. Niezwykłym momentem były też prace na kwaterze „Ł” cmentarza Powązkowskiego. Nie było innego miejsca w Polsce, które budziłoby takie zainteresowanie społeczne. Nigdy nie pracowaliśmy sami, zawsze w otoczeniu ludzi. Pamiętam też wzruszenie, gdy w 2014 r. na cmentarzu Garnizonowym w Gdańsku, trzeciego dnia naszych tam prac, odkryliśmy na głębokości zaledwie pół metra szczątki młodej dziewczyny. Już tego dnia mówiliśmy między sobą, nawet bez badań: to „Inka”...

...jedna z najmłodszych spośród skazanych sądownie, 17-letnia Danuta Siedzikówna, sanitariuszka AK, stracona w 1946 r.

Pamiętam naszą niewzruszoną pewnością, że to ona: bardzo młoda dziewczyna z przestreloną głową. Obok niej leżał mężczyzna, starszy od niej. Wszystko tu pasowało do danych, które wcześniej zebraliśmy [mężczyzną był podporucznik AK Feliks Selmanowicz, ps. „Zagończyk”, stracony razem z „Inką” – red.]. Pamiętam wreszcie wyjątkową atmosferę, która towarzyszy uroczystościom, jakie odbywają się co roku na „polanie śmierci” koło miejscowości Barut na Opolszczyźnie. Jeśli tylko mogę, staram się w nich uczestniczyć. Przyjeżdżają tam rodziny pomordowanych partyzantów z oddziału NSZ kpt. Henryka Flamego „Bartka”, uśmierceni skrytobójczo na terenie Opolszczyzny we wrześniu 1946 r. Ten mord na prawie 200 partyzantach do dziś nie został wyjaśniony. Od kilku lat staramy się ustalić miejsca, gdzie mogą spoczywać. Każdy chyba, kto choć raz był wśród tych rodzin, które przyjeżdżają co roku z różnych miejsc Polski, głównie z Żywiecczyny – bo tam powstał oddział „Bartka” – i modlą się w tym symbolicznym miejscu, był pod wielkim wrażeniem. Ja traktuję to jako zobowiązanie: trzeba zrobić wszystko, by można było tym ludziom powiedzieć – tak, odnaleźliśmy waszych bliskich.

Czy można przewidzieć, jak długo jeszcze będą trwać poszukiwania i ekshumacje?

Być może wiele lat. Wszystko zależy od tego, czy będziemy je kontynuować w sposób szeroki, czy też wąski. To znaczy: czy zatrudnimy kolejnych 20-30 specjalistów, dzięki czemu będzie można pracować w kil-



PIOTR GAJEWSKI / IPN

Prace poszukiwawcze na tzw. łączce na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, 2014 r.

ku miejscach naraz, czy też będziemy pracować jak dotąd z jednym doświadczonym zespołem, który siłą rzeczy ma ograniczone możliwości? Odpowiedź nie jest prosta i nie chodzi tylko o pieniądze. Znalezienie finansów i utworzenie kilku zespołów zwiększy szanse, ale nie musi gwarantować sukcesu. Bo najważniejsze są nie pieniądze, ale ludzie, którzy są w zespole i odznaczają się szczególnymi predyspozycjami. To nie jest tak, że można w każdej chwili znaleźć kolejnych specjalistów, którzy mogliby dołączyć. To nie takie proste.

Ma Pan na myśli obciążenie psychiczne, zapewne towarzyszące tej pracy?

Chodzi o predyspozycje osobiste. Tu nie wystarczy być specjalistą, jeśli ktoś nie ma przekonania do tej pracy, którą uznajemy za pewien zaszczyt, honor – bo my tak to traktujemy. Jeśli ktoś ma wyobrażenie, że to

zwykła praca od ósmej do szesnastej, szybko od nas odejdzie.

Zapytam inaczej: o jakim zakresie prac mówimy?

Po 1944-45 r. na podstawie wyroków sądowych zamordowano w Polsce ok. 4 tys. ludzi. Kolejnych kilkanaście tysięcy zostało zabitych w walce lub uśmierconych w wyniku różnych działań pacyfikacyjnych UB, KBW i wojska, czasem też przy wsparciu NKWD. Do tego dochodzą zamordowani w wojewódzkich i powiatowych aresztach UB oraz w placówkach Informacji Wojskowej. Daje to liczbę kilkunastu tysięcy ludzi, których szczątki nie zostały wydane rodzinom, lecz zakopane anonimowo, ukryte w nieznanym do dziś miejscach. Ile potrzeba czasu, by ich odnaleźć? Dziesięć lat? Mam świadomość, że być może nigdy nie będzie można powiedzieć: udało się, zna-

leliśmy wszystkich. To zapewne niemożliwe. Także dlatego, że w niektórych urzędach wojewódzkich UB szczątki przekazywano do zakładów anatomii, traktowano je jako materiał do ćwiczeń. Nigdy więc nie odnajdziemy wszystkich. Ale należy zrobić wszystko, aby odnaleźć możliwie wielu.

Wyobraźmy sobie, że uczestniczy Pan w publicznej dyskusji i musi przedstawić w niej sens tej pracy. Jak by ją Pan uzasadnił?

Odpowiedź zależy od tego, komu musiałbym ten sens przedstawiać. Jeśli osobom, które uznają członków powojennej konspiracji, Żołnierzy Wyklętych, za bohaterów, powiedziałbym: to część naszej historii. To ludzie, którzy kontynuowali walkę o wolność, nasi bohaterowie, których próbowano nam odebrać. A my jesteśmy im winni szacunek i pamięć. A żeby tę pamięć zachować i przekazać, powinniśmy także odnaleźć ich szczątki.

A gdyby dyskutował Pan ze sceptykiem?

Gdybym miał przekonać tych, którzy nie czują żadnego związku z Żołnierzami Wyklętymi – a mam świadomość, że takich ludzi jest przecież w Polsce niemało – powiedziałbym: wychowaliśmy się i żyjemy w kręgu kultury chrześcijańskiej, europejskiej, w której prawo do pochówku i do grobu jest czymś oczywistym, pozostającym poza dyskusją. Jeśli więc ktoś zastanawia się, jaki jest sens wydawać pieniądze podatnika na te poszukiwania, ekshumacje i na drogę badania genetyczne, niech przypomni sobie dzień 1 listopada. I niezależnie od tego, czy jest chrześcijaninem, czy też nie, niech zada sobie pytanie: czy tego dnia idzie na groby swoich bliskich, czy też zapala świece w miejscach przypadkowych, symbolicznych? Każdy z nas ma prawo do tego, aby znać miejsca pochówku swoich najbliższych. Dlatego więc miałby odmawiać tego prawa innym, którzy do dziś nie wiedzą, do jakiego dołu wrzucono ich ojca, dziadka, wujka? Tym współobywatelom, którzy nie czują związku z Żołnierzami Wyklętymi, powiedziałbym więc, że tu nie chodzi o poglądy polityczne, lecz o zwykłą ludzką powinność.

©

Rozmawiał KRZYSZTOF PIĘCIAK

DR HAB. KRZYSZTOF SZWAGRZYK jest historykiem, profesorem Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, pełnomocnikiem prezesa IPN ds. poszukiwań miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego. Autor wielu książek, m.in. „Listy do Bieruta. Prośby o ułaskawienie z lat 1946–1956”, „Straceni na Dolnym Śląsku 1945–1956”, „Prawnicy czasu bezprawia. Sędziowie i prokuratorzy wojskowi w Polsce 1944–1956”.

Śmierć nie pytała o wiek

FILIP MUSIAŁ

**Gdy stanęli pod „ścianą śmierci”, mieli po 19 lat:
Marek Kubliński i Stanisław Sala – skazani przez komunistyczny sąd w Krakowie.
Takich młodych ludzi jak oni były wtedy w Polsce tysiące. Setki z nich zginęły.**

Na pozółkłym ze starości grubym papierze gęsto układają się linie nierównych, słabo czytelnych słów. W wyblakłym, zielonym kiedyś tuszu, którym spisano protokoły przesłuchań, niknie życie.

Wyraźne pozostały tylko czerwone podkreślenia fragmentów, które zaprowadziły 19-letniego chłopca pod mur więzienia przy ul. Montelupich w Krakowie. W miejsc, gdzie cegły odłupane były odpryskami od kul, i w którym wcześniej stało już blisko 200 innych osób.

Marek

Marek Kubliński miał 17 lat, gdy w 1948 r. razem z kolegą z Liceum im. Jana III Sobieskiego w Krakowie, Adamem Sirko, założył konspiracyjne kółko samokształcenio-we. Wkrótce dołączyli do nich inni chłopcy – w tym Bohdan Różycki, z którym Kublińskiego miały połączyć szczególnie silna przyjaźń i tragiczny los.

Początkowo chodziło im tylko o to, by móc rozwijać się bez opresji cenzury i gorsetu ideologii komunistycznej. Chłopcy przygotowywali referaty dotyczące historii i doktryn politycznych, omawiali także bieżącą sytuację międzynarodową. Wkrótce jednak kupili powielacz i wydrukowali blisko tysiąc ulotek nawołujących do oporu wobec władz komunistycznych.

Rodzice Kublińskiego i Różyckiego odkryli tę działalność – i skłonili młodzieńców do zniszczenia ulotek oraz sprzedaży powielacza. Przekonywali ich, że podjęta przez nich próba oporu grozi poważnymi konsekwencjami – nieproporcjonalnymi do efektu, jaki mogli osiągnąć za pomocą rozrzucaenia druków. Niewątpliwym autorytetem był w tej kwestii dla chłopców ojciec Bohdana: rotmistrz Jan Benedykt Różycki, ps. „Busik”, żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i Armii Krajowej, a zarazem Cichociemny, zrzucony do kraju w 1944 r.

Chłopcy ulegli perswazji ojców. Ale gdy wkrótce później rotmistrz „Busik” znalazł się w komunistycznym więzieniu, postanowili znów działać. Kubliński i Różycki zaczęli gromadzić broń, aby odbić z więzienia ojca Bohdana. A jedną z metod pozyskania

broni były akcje, w czasie których rozbrajali milicjantów.

Podczas jednej z nich – przeprowadzonej blisko Wawelu – za chłopcami ruszył pościg. Uciekali Plantami, przez plac Szczepański, ulice św. Tomasza i Sławkowską na Rynek. Tam wywiązała się strzelanina, w której Różycki został ranny w nogę. Chłopcy zdołali wsiąść do taksówki i uciekli pogoni, choć przy samochodzie trafiony został także Kubliński. Kazali się odwieźć na ul. Kazimierza Wielkiego.

Tam Różycki ukrył się w podwórzu – nie był w stanie chodzić, kula strzaskała kość piszczelową i rozerwała mięśnie lewej łydki. Marek pobiegł po pomoc. Ale nie zdołał już wrócić do przyjaciela, gdyż zaalarmowani przez taksówkarza milicjanci i ubecy otoczyli budynek.

Różycki ostrzeliwał się do północy, a ostatnią kulę przeznaczył dla siebie. Dzięki pomocy ojca Marek na krótko ukrył się w Rabce. Został jednak zdradzony i aresztowany. Miał 18 lat, gdy skazano go na śmierć – był czerwiec 1950 r.

W październiku, już po jego dziewiętnastych urodzinach, zamordowano go na dziedzińcu więzienia przy ul. Montelupich w Krakowie.

Staszek

Podobnie jak Kubliński, Stanisław Sala miał także 17 lat – i za sobą już doświadczenia współpracy z niepodległościową partyzantką – kiedy w 1947 r. formował konspiracyjny zastęp harcerski Leśni Ludzie. Do zastępu weszli głównie jego koledzy z gimnazjum w Makowie Podhalańskim.

Wkrótce Sala przekształcił zastęp w podziemną organizację o nazwie Podhalańska Grupa Operacyjna Podziemnego Wojska Polskiego im. Józefa Piłsudskiego, której starał się nadać formę wojskową. Blisko 20 chłopców, którzy podlegali rozkazom Sali, stawiało sobie za cel obronę Polski i wiary katolickiej przed naporem komunizmu. Działali jak „dorosła” konspiracja: przeprowadzali akcje rekwizycyjne, z których finansowali druk ulotek i działalność ideową.

Bezpieka dość szybko ich namierzyła; werbowała informatorów, organizowała ob-

ławy. Staszek wpadł 11 kwietnia 1948 r., jednak udało mu się nocą uciec z posterunku milicji. Ścigany, stworzył wówczas regularny oddział partyzancki – i przez kilka miesięcy ukrywał się, prowadząc działalność propagandową i zbrojną.

Po raz kolejny bezpieka złapała go w grudniu 1948 r., tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Po bardzo ciężkim śledztwie został w kwietniu 1949 r. skazany na śmierć. I wkrótce potem zamordowany – miał wówczas 19 lat.

Heniek, Ludwik, Czesiek...

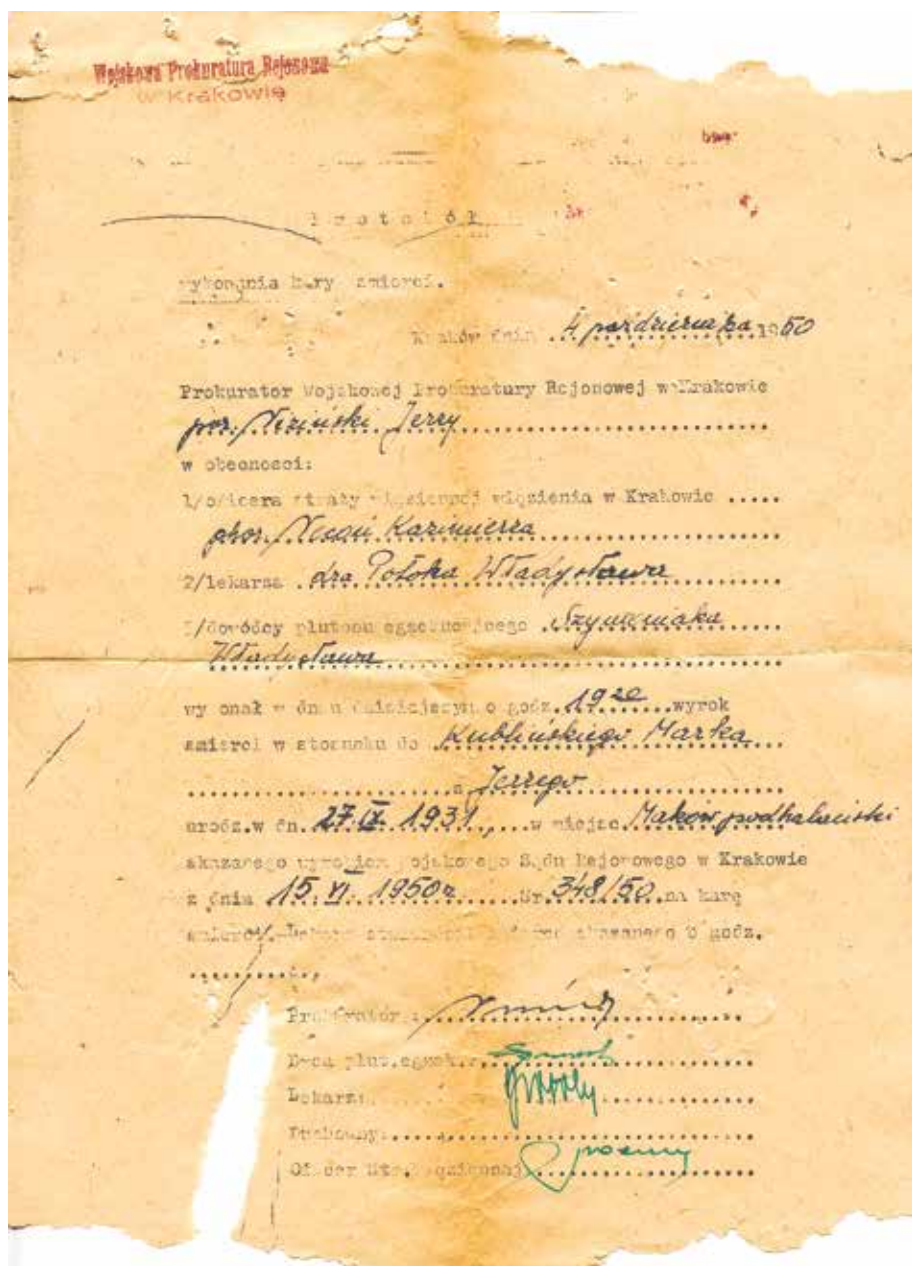
Takich młodych ludzi jak Marek Kubliński i Stanisław Sala, angażujących się w działalność niepodległościową, były wtedy w Polsce tysiące. Setki z nich ginęły w walce albo od strzału w potylicę na dziedzińcach więzień czy w piwnicach UB.

Wojskowy Sąd Rejonowy w Krakowie skazał na śmierć jeszcze kilku innych nastolatków. Ponad pół roku brakowało do osiemnastych urodzin Stanisława Mardulę „Capa” z Zakopanego, gdy zabijano go za walkę w szeregach Zgrupowania Partyzanckiego „Błyskawica”, dowodzonego przez Józefa Kurasia „Ognia”. 18 lat miał Czesław Olma „Biegly”, gdy umierał na podwórzu więzienia Montelupich, skazany za działalność w szeregach oddziału NSZ Ludwika Byrskiego „Zbika”. 19 lat zdążył skończyć Henryk Sroga „Zamek” – partyzant z oddziału Franciszka Zawrzykraj „Wichra”. Komunistyczni sędziowie skazali na śmierć także jego starszego brata Jana – obaj zostali zamordowani „na Monte” (jak popularnie zwano krakowskie więzienie).

W aktach sądu można znaleźć znacznie więcej wyroków skazujących ich nieco starszych kolegów: dwudziesto- czy dwudziestoparoletnich mężczyzn. Do podziemia schodzili oni często w wieku lat kilkunastu, zdołali jednak dłużej działać i ukrywać się przed bezpieką. Po dwadzieścia lat mieli więc np. Antoni Mrowiec „Jama”, partyzant oddziału Bunt-Błysk, Stanisław Szajna „Orzeł” z Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowców czy Jan Szeliga „Czapla” ze Zgrupowania Partyzanckiego „Błyskawica”. Dwudziestojedno- czy dwudziestodwu-



Od lewej: Marek Kubliński, Stanisław Sala, Kajetan i Stanisław Samborscy.
Poniżej: protokół wykonania kary śmierci na Marku Kublińskim, 4 października 1950 r.



latków zamordowano z wyroków komunistycznych trybunałów w tym regionie Polski kilkunastu.

Sanitariuszka Genowefa

Młodzi ginęli też w walce – co charakterystyczne, często angażując się w działania niepodległościowe całymi rodzinami. Ryszard Skorupka „Orzeł” poszedł do konspiracji w ślad za braćmi Zdzisławem i Tadeuszem, którzy służyli w 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK. W 1945 r. jego bracia byli już w oddziale Feliksa Perekładowskiego „Przyjaciela”, a „Orzeł” był tego oddziału współpracownikiem. Tadeusz zginie z rąk NKWD, Zdzisław będzie ukrywał się na Dolnym Śląsku. Najmłodszy Ryszard trafi natomiast do zgrupowania „Ognia”. Próbuje go skłonić do ujawnienia, bezpieka arestuje w październiku 1946 r. jego rodzinę, w tym 16-letnią siostrę, która na długie miesiące zostanie osadzona w jednej celi m.in. z prostytutkami. Zrozpaczony „Orzeł” odbierze sobie życie – zapewne w nadziei, że jeśli zginie, to komuniści przestaną nękać jego rodzinę. Nadzieja ta była jednak płonna.

Kilkanaście lat miała w czasie wojny Genowefa Kroczeck „Lotte”, gdy prowadziła szkolenia pielęgniarskie i prowadziła punkty sanitarne dla konspiracyjnych ludowców, kierując tzw. Zielonym Krzyżem w Limanowskim. Była lokalną legendą i dobrym duchem, któremu życie i zdrowie zawdzięczały dziesiątki, jeśli nie setki osób.

Gdy miała 22 lata, została zastrzelona przez dawnego kolegę z konspiracji, którego leczyla w czasie wojny – i który w 1945 r. został funkcjonariuszem UB. Gdy kazano jej się zatrzymać na ulicy – nie posłuchała, puszczono więc za nią serię z automatu. Wtedy – jak opisywał badacz limanowskiego ruchu ludowego – „do ranionej w nogę, leżącej na ziemi podszedł pracownik UB Tad[eu]sz Le-cyń »Czapka« (...) i zapytał, gdzie ukrywa się Teofil Górka »Dywan«. »Lotte« odpowiedziała, że nie wie, ale nawet gdyby wiedziała, nie zdradziłaby. »Czapka« jednym strzałem w głowę z pistoletu pozbawił ją życia”.

Jeszcze mocniejszym przykładem zbiorowej ofiary zaangażowanych w działalność niepodległościową rodzin jest kresowe rodu Samborskich. Najstarsza siostra Krystyna była żołnierzem AK o pseudonimie „Zuch”. Została ujęta przez Niemców i po brutalnym śledztwie zamordowana, gdy miała 21 lat. Jej bracia też działali w konspiracji: starszy Kajetan w czasie wojny i po niej, młodszy Stanisław już po 1945 r. Kajetan walczył w zgrupowaniu „Ognia”, potem razem z młodszym bratem w oddziale Wiary, a później w oddziale Zorza, którym dowodził. Z końcem 1948 r. bracia postanowili przedostać się do wolnego świata. ➔

→ Podczas walki z czechosłowacką bezpieką zginął liczący 22 lata Kajetan Samborski, ps. „Teściowa”. Lekko ranny 20-letni Stanisław Samborski, ps. „Bratek”, został zatrzymany i przekazany PRL-owskiej bezpiece. Skazano go na śmierć i zamordowano na dziedzińcu więzienia przy ul. Montelupich w lipcu 1949 r.

Zachowali się jak trzeba

Czasem mówi się o walce niepodległościowego podziemia powojennego, że była to „chłopska wojna”. To w jakimś sensie prawda: oddziały zbrojne w większości składały się z chłopców i dziewcząt z polskich wsi. Ale jednocześnie tę walkę toczyli ludzie bardzo młodzi, kilkunastoletni lub liczący niewiele ponad 20 lat. Wielu partyzanckich dowódców nie przekroczyło 25. roku życia.

Dlaczego walczyli? Co sprawiało, że ryzykowali życiem?

Chyba nie ma jednej odpowiedzi. Bardzo wielu z nich nie widziało innej drogi. Chcieli tak jak legendarna dziś, w chwili śmierci 17-letnia Danuta Siedzikówna „Inka”, „zachować się jak trzeba” (to jej słowa; o ich przekazanie babci poprosiła w grypsie wysłanym z więzienia). Bo tak wychowała te najmłodsze pokolenia II Rzeczypospolita: w umiłowaniu do ojczyzny i wolności. W gotowości składania za te wartości ofiary, także najwyższej. Widzieli podobne zachowania u rodziców czy starszego rodzeństwa w czasie wojny, obserwowali je też wśród rówieśników.

Byli i tacy, których do podziemia pchały inne wartości: przyjaźń i solidarność. Walczyli, bo to samo robili ich najbliżsi i przyjaciele, bo nie chcieli „zostawać w tyle”. Z pewnością byli też tacy, dla których idee miały znaczenie mniejsze, a do akcji zbrojnych napędzały ich emocje, a może szansa zaimponowania dziewczynom czy kolegom.

Życiorys każdego z tych młodych ludzi przynosi nieco inne motywacje albo inne ich proporcje. Wydaje się jednak, że wojenny i powojenny opór wobec zniewolenia to przede wszystkim świadectwo wartości wpojonych wcześniej w wolnej Polsce przed 1939 r. Wartości, o których przypomina sobie dziś najmłodsze pokolenie III RP, aktywnie włączając się w uroczystości Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych. ©

DR HAB. FILIP MUSIAŁ

Autor jest profesorem Ignatianum, historykiem i politologiem, prorektorem Akademii Ignatianum w Krakowie i pracownikiem Oddziału IPN w Krakowie.

Harcerz z Wilna

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

Po 1945 r. wielu deportowanych z Kresów żołnierzy AK znów schodzi do podziemia. Zjawisko tej „wędrującej konspiracji” dotyczy również nastoletnich kresowian.

Jest 1 listopada 1946 r. W pociągu Katowice–Gdynia, za stacją w Tczewie, patrol Wojsk Bezpieczeństwa Wewnętrznego chce sprawdzić dokumenty dwóch 17-latków. To Ryszard Janukowicz ps. „Belami”, i Eugeniusz Siemaszko „Bill”. Ale chłopcy nie mają dokumentów. Mają za to broń. Padają strzały.

Siemaszko wspomina potem, że chciał odbić kolegę, w którego teczce żołnierze znaleźli pistolet. Akta UB mówią, że chłopcy strzelali, bo bali się konsekwencji braku dokumentów. W każdym razie postrzelony w brzuch ginie szeregowy WBW Bronisław Fałko. W wagonie wybucha panika, pociąg staje. Korzystając z zamieszania, Janukowicz i Siemaszko uciekają. Ale doganiają ich milicjanci i drugi żołnierz z patrolu. Odbierają nastolatkom broń, aresztują ich i jeszcze tym samym pociągiem przewożą do Gdańska.

Śledztwo jest brutalne. Już 2 listopada ujawnia, że obaj zatrzymani są członkami konspiracyjnej organizacji. Szef Oddziału Wywiadu Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego mjr Jakub Jonas pisze, że jej zadaniem ma być „zwalczanie demokratycznego [tak w oryginale – red.] ustroju Polski metodami terroru i propagandy”, i że organizacja ma „przygotować zbrojne powstanie” przeciw Armii Czerwonej, obecnej w Polsce.

Wojenny staż

Geneza grupy konspiracyjnej, której dwóch członków ujęto tamtego feralnego listopadowego dnia, sięga 1943 r.

Wtedy to powstaje w Wilnie, pod okupacją niemiecką, drużyna złożona z wychowanych w duchu legionowym harcerzy, którzy pomagają lokalnym strukturom Armii Krajowej, m.in. zbierając dla niej broń i leki. Wśród tych nastolatków jest Siemaszko.

Swój wojenny „staż” zaczyna już we wrześniu 1939 r. – jako 10-letni harcerz. Razem z innymi młodymi wilnianami roznosi powołania do wojska, później pomaga rodzinom oficerów aresztowanych przez NKWD (Sowieci okupują Wilno do czerwca 1941 r., z przerwą między październikiem 1939 i czerwcem 1940 r., gdy miasto jest we władaniu Litwinów). Po 1943 r. Eugeniusz Sie-

maszko pełni funkcje łącznika, kolportuje ulotki, dostarcza akowcom żywność.

W lipcu 1944 r., po zdobyciu Wilna przez Armię Czerwoną – przy współudziale miejscowej AK (operacja „Ostra Brama”), której żołnierze zostają następnie rozbrojeni i aresztowani przez Sowieców – harcerska grupa zostaje rozformowana. Mieszkańcy Wileńszczyzny na nowo poznają oblicze „wyzwoliciele”: trwają aresztowania, wywózki i rozstrzeliwania żołnierzy AK. „Za trzeciego Sowietą” także cywile nie znają dnia ani godziny.

Część wileńskich harcerzy – wśród nich Siemaszko – trafia do Ludowego Wojska Polskiego. Podobno w Warszawie kontaktują się z akowcami. Planują z nimi spotkanie na cmentarzu w Rembertowie, ale zamiast tego dochodzi tam do strzelaniny z NKWD.

Wiosną 1945 r. Siemaszko dezerteruje z wojska i półlegalnie, koleją, wraca do Wilna. Tu wśród polskich rówieśników, których nie dotknęły jeszcze wysiedlenia, zakłada Bojową Organizację Młodzieży Armii Krajowej (BOMAK). Jej członkowie, wileńscy gimnazjaliści, kolportują antysowieckie ulotki, przekonują o konieczności walki za polskie Wilno, zbierają broń. W Zaduszkach 1945 r. inicjują akcję zakończoną złożeniem wieńca na Rossie, na grobie matki Piłsudskiego. Podobno organizują zasadzki na krasnoarmiejców, walczą i zabijają.

Wędrująca konspiracja

Ich organizacja, BOMAK, rozpada się jednak – w związku z deportacjami Polaków.

Wielu wygnanych wilnian trafia do Bydgoszczy. Także tu, w maju 1946 r., przyjeżdżie z rodzicami Siemaszko. Aby dalej walczyć z „czerwonym”, we wrześniu tego roku kontaktuje się z Ryszardem Janukowiczem – również wysiedlonym do tego miasta – i razem tworzą Polską Organizację Młodzieży Armii Krajowej (POMAK). To przykład nie tylko determinacji w walce z komunizmem – jak dziś wiemy, skazanej na klęskę – lecz również fenomen „wędrującej konspiracji”: wędrującej wraz z młodymi wilnianami.

Siemaszko odwiedza w Brzeźnicy koło Wólki swego brata ciotecznego Tadeusza Sakowicza, ps. „Rakieta”, u którego ma być



Eugeniusz Siemaszko, 1946 r.



Eugeniusz Siemaszko odbiera nagrodę „Świadka Historii”, 2015 r.

gromadzona broń. W Bydgoszczy chłopcy odnawiają wileńskie znajomości i werbują innych nastolatków: Edwarda Mańkowskiego, ps. „Kramer” i Edwarda Paszkiewicza, ps. „Orzeł”. Ten ostatni namawia do konspiracji Danutę Sochaczewską, ps. „Lolek”. 24 października cała piątka składa przysięgę w Lasu Gdańskim, miejscu egzekucji Polaków w latach 1939-45. Konspiratorzy, z ręką na krzyżu i pistolecie, powtarzają za Janukowiczem, że będą służyć ojczyźnie, nie zdradzą współtowarzyszy z organizacji i będą walczyć z „wszystkimi wrogami wolnej Polski”.

Dowództwo w POMAK ma przechodzić co miesiąc na innego członka grupy. Najpierw pełni je Siemaszko, po nim Janukowicz. Mańkowski jest sekretarzem i odpowiada za finanse. Grupa dzieli się na sekcje: wywiadowczą i bojową. Paszkiewicz i Sochaczewska są wywiadowcami, a Siemaszko szefem grupy bojowej. Spotkania odbywają się w mieszkaniach prywatnych i w terenie. Grupa nawiązuje kontakty m.in. w Toruniu, Wałczu, Wrocławiu i Szczecinie.

Chłopcy mają przemycone z Wilna cztery pistolety, ale chcą się dozbroić. Tego samego 24 października – zapewne po przysiędze – między mostami przy ul. Zygmunta Augusta obserwują porucznika LWP. Ten zauważa, że jest śledzony i chowa się w krzakach z bronią gotową do strzału. Janukowicz daje znak do odwrotu. Mimo to Siemaszko podchodzi z pistoletem, ale oficera już nie ma – uciekł. W drugiej akcji Siemaszko, ubezpieczany przez kolegów, podchodzi z pistoletem do pijanego oficera LWP, lecz ten nie ma przy sobie broni.

Konspiratorzy obserwują też sowiecką komendanturę w Bydgoszczy i zbierają o niej informacje, śledzą sowieckich oficerów.

Aresztowani

Tamtego 1 listopada 1946 r. Janukowicz i Siemaszko wsiadają do pociągu. Jadą po

broń do mieszkającego w Gdańsku kolegi, Czesława Babnisa. Co było dalej, wiemy.

W śledztwie obaj są torturowani. Już 2 listopada UB wraz z Informacją Wojskową zatrzymują w Bydgoszczy pozostałych członków POMAK. Sześć dni później zostaje aresztowany Babnis, u którego znaleziono pistolet i biało-czerwone opaski z napisem „Wilno”. Funkcjonariusze UB docierają do Sakowicza (w Wałczu odnajdują magazyn broni POMAK) i trzech innych członków grupy (też wilnian) – Edwarda i Zbigniewa Podresów we Wrocławiu i Romana Mazurkiewicza „Filara” w Szczecinie. Nie zatrzymują wszystkich, bo rozgałęziona grupa może liczyć kilkanaście lub więcej osób.

W związku ze sprawą POMAK dowództwo Wojsk Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Gdańsku ocenia na wyrost, że dawni żołnierze AK werbują do „grup dywersyjno-wywiadowczych” młodzież szkolną, wykorzystując jej zapał i skłonność do konspiracji. Kierownictwo nad tymi organizacjami obejmują zaś – przypuszcza (błędnie) WBW – „legalne ośrodki reakcji w kraju” i dowództwo „oddziałów leśnych”. WBW sądzi dalej, że konspiracyjne struktury mogą działać tam, gdzie trafiło szczególnie wielu wysiedleńców z Kresów: w Bydgoszczy, Gdańsku, Olsztynie, Szczecinie czy Wrocławiu.

„Kaes” darowany

Siemaszko zostaje skazany na śmierć. Wojсковy Sąd Rejonowy w Gdańsku – ten, który wcześniej skazał na śmierć Danutę Siedzikówną, tak jak Siemaszko niemającą jeszcze 18 lat – wydaje ten wyrok 14 lutego 1947 r., podczas procesu pokazowego. Publiczność protestuje.

Wydaje się, że los nastolatka jest przesądzony – prezydent Bolesław Bierut nie chce go ułaskawić, a Sąd Najwyższy utrzymuje wyrok, który ma zastraszyć innych niepokornych. Ale na koniec Siemaszkę obejmują amnestia z 22 lutego 1947 r. i zamiast „ka-

esa”, dostaje do odsiedzenia 15 lat więzienia. Amnestia dotyczy też Janukowicza, któremu darowano pięć lat więzienia, zasądzone 4 marca 1947 r. (w kwietniu 1948 r. założył on w Bydgoszczy nową organizację podziemną, pod nazwą Armia Krajowa, ale i ją po trzech miesiącach rozbija UB). Pozostali członkowie POMAK unikają kary ze względu na młody wiek i małe zaangażowanie w konspirację.

Siemaszko jest więziony w Gdańsku, Sztumie, Wronkach i Strzelcach Opolskich. W Sztumie czeka go karcer, we Wronkach rok w pojedynczej celi. „Nie wierzyłem, że w ogóle kiedyś wyjdę” – będzie wspominać w rozmowie opublikowanej w 2011 r. na portalu Bydgoszcz24.pl. Wolność odzyska na fali „odwilży” w czerwcu 1956 r. Potem powie, że w więzieniu zrozumiał bezsens walki zbrojnej.

Chce ratować historię, kolekcjonuje więc kresowe „archiwum polskości”. Jest społecznikiem. Po 1989 r. współzakłada w Bydgoszczy związek stalinowskich więźniów politycznych; zostaje też prezesem wileńsko-nowogrodzkiego środowiska AK. Organizuje wystawy, spotkania z młodzieżą, pomaga Polakom w Wilnie. Jest m.in. odznaczony Krzyżem z Mieczami Orderu Krzyża Niepodległości i laureatem nadawanej przez IPN Nagrody Honorowej „Świadek Historii”. W rozmowie sprzed pięciu lat powiedział: „Patriotyzm to nasz wspólny obowiązek. Dla mnie liczy się człowiek. A drugie: służyć społeczeństwu. Wychować młodzież. To jest podstawa”. Tymi ideałami żyje do dziś. ©

Dziękuję dr. Dariuszowi Burczykowi z IPN w Gdańsku za udostępnienie zdjęcia.

DR BARTŁOMIEJ NOSZCZAK jest historykiem w warszawskim Oddziale IPN, redaktorem „Przeglądu Archiwalnego IPN”. Ostatnio wydał: „Etos gniewu. Antykomunistyczne organizacje młodzieżowe w Warszawie (1944–1989)”.



Nastoletnia Sabina Świątek (z lewej) z rodzicami. Zdjęcie z czasu niemieckiej okupacji; miejsce jego wykonania nie jest znane. Jan Świątek pracował dla wywiadu ZWZ-AK, występując w roli obwoźnego handlarza.

Ballada o Sabince

KRZYSZTOF PIĘCIAK

To polski wiek XX w miniaturze: dwie wojny światowe, wojna 1920 r., konspiracja po 1945 r. i represje, Solidarność. I wreszcie, już w wolnym kraju, szukanie sprawiedliwości.

Areszt śledczy Miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Częstochowie, rok 1947. Mała cęła, w niej stłoczonych kilkanaście osób. Kobiety i mężczyźni czekający na przesłuchanie. Większość to młodzi chłopcy.

W kącie, na odwróconym wiadrze i stercie gałganów, siedzi drobna, szczupła dziewczyna. Niedawno skończyła 19 lat, ale nadal wygląda jak dziecko. Śmieje się, macha nogami w powietrzu i śpiewa, na okragło. Gdy słyszy podsłuchującego pod drzwiami celi strażnika, radośnie podśpiewuje „Hej wy, konie, rumaki stalowe...”. Woła prowokacyjnie: „Nie podoba się panu?”. Do jej głosu przyłączają się kolejne, przygnębieni ludzie odpuszczają się na chwilę i śpiewają.

Sabina Świątek nawet w areszcie nie traciła wesołości i odrobiny przekory.

Królowa Saba

Nie była grzecznym dzieckiem. Raczej łobuzowała. Ruchliwa, żywe srebro. Najmłodsza z czwórki rodzeństwa, samych dziewczyn. – Lubiłam psocić, pokazać język koleżance, schować się za tablicą czy podczas szkolnej odpowiedzi robić głupie miny – przyznaje dzisiaj.

Mimo to świetnie chłonęła wiedzę, w szkole powszechnej w rodzinnym Radomsku, a potem w Częstochowie, dokąd przenosi się rodzina. Na zachowanym szkolnym świadectwie prawie wszystkie oceny to „bardzo dobry”. Dziś z radością wspomina: – To była łatwizna dla mnie, od dziecka się dobrze uczyłam, nawet trochę lepiej niż moje siostry.

Na ostatnim świadectwie, wydanym już podczas niemieckiej okupacji, oceny wystawiano w dwóch językach: po polsku (zwykle „bardzo dobry”) i niemiecku („sehr gut”).

Także dzięki dobrym ocenom rodzice przyzymkają oko na psoty najmłodszej córki. Ale nawet gdyby nie była prymuską, zapewne wiele by jej wybaczali. Zwłaszcza ojciec: jest jego oczkiem w głowie, córeczką najulubieńszą.

Sabina: – Ojciec bardzo mnie kochał, bo byłam najmłodsza. Ale za to, jak trzeba było gdzieś iść, z kimś pogadać, kogoś przywitać w domu, coś przywieźć, to ja szłam to załatwić. Tak się złożyło, że choć rzadko pchałam się do pierwszego szeregu, często w nim lądowałam. Tak mi zostało w pracy i do końca życia. Wtedy byłam takim pupilem tatusia. Mówił do mnie pieszczotliwie: „moja królowa Saba”.

Od POW do AK

Ojciec Sabiny, Jan Świątek, to – rzecz można – typowa biografia z czasów II Rzeczypospolitej.

Urodzony w 1899 r. we wsi Skomlin koło Wielunia, wtedy w zaborze rosyjskim, do szkoły chodził w Wieluniu. Tutaj, w 1917 r. – od dwóch lat Kongresówka jest pod okupacją niemiecką i austriacką – wstępuje do Polskiej Organizacji Wojskowej, tajnej organizacji założonej przez Józefa Piłsudskiego.

W listopadzie 1918 r., gdy zaczyna się tamto zwycięskie polskie powstanie – choć tak nienazwane – rozbraja żołnierzy niemieckich na ulicach Częstochowy. Zaraz potem zgłasza się na ochotnika do powstającego Wojska Polskiego. Jako żołnierz częstochowskiego 27. Pułku Piechoty walczy z bolszewikami. W 1922 r. odchodzi z wojska, ale nie ze służby dla państwa. Jeszcze w tym samym roku zgłasza się do Policji Państwowej, gdzie będzie służyć przez następnych 17 lat.

Wybuch II wojny światowej zastaje go w roli dowódcy plutonu policji. Po klęsce kampanii wrześniowej jego rodzinne strony – okolice Wielunia, już 1 września zniszczonego w nalocie Luftwaffe – zostają przez Hitlera wcielone administracyjnie do III Rzeszy. Ale również tutaj powstają struktury państwa, tym razem podziemnego. A Jan Świątek nadal mu służy: w powiecie wielunińskim, na terenie wyjątkowo trudnym – szczególnie doświadczonym represjami, wysiedleniami i wywózkami na roboty do Rzeszy, a także wpisywaniem na Volkslistę – organizuje placówkę wywiadu Związku Walki Zbrojnej (potem Armii Krajowej).

Córki wiedzą tylko, że ojciec musi często wyjeżdżać. Oficjalny jego zawód, handlarz żywnością, pozwala mu przemieszczać się z taką w miarę mocną „legendą”.

Bywa, że ojcu w jego podróżach – oficjalnie: po żywność – towarzyszy Sabinka.

Kolejna konspiracja

Styczeń 1945 r. Do Częstochowy – gdzie mieszka rodzina Świątków – wkracza Armia Czerwona. Zaczynają się nowe porządki, powstają urzędy bezpieczeństwa, które w tej okolicy obsadzają częściowo byli partyzanci komunistycznej Armii Ludowej. Ruszają aresztowania – powodem może być już sama przynależność do AK. „Za okupacji niemieckiej był w nielegalnej organizacji”; „Należał do AK, do winy się przyznaje” – tak brzmią zapisy w protokołach zatrzymań, sporządzanych w 1945 r. przez częstochowski UB.

Rodzina Świątków próbuje ułożyć sobie życie. Nowe porządki im nie odpowiadają, ale Jan na razie nie angażuje się – jego organizację rozwiązano, wśród byłych akowców panuje zamieszanie. W okolicy miasta działa wtedy tylko kilka oddziałów partyzanckich, głównie Narodowych Sił Zbrojnych,

ale zostają rozbite, a wielu ich żołnierzy skazanych na śmierć.

Dopiero wiosną i latem 1945 r., w rejonie między Częstochową, Radomskiem i Łodzią, powstaje Konspiracyjne Wojsko Polskie – nowa organizacja, złożona głównie z byłych akowców [o KWP patrz tekst „Zdjęcie z buta” – red.]. Także wielu członków wywiadu AK angażuje się w KWP, którego struktury sięgają nawet do powiatowych urzędów bezpieczeństwa. KWP ma duże poparcie w miejscowej społeczności: większość jego członków to chłopcy, często angażujący się całymi rodzinami czy grupami z jednej wsi. Oddziały KWP działają na „swoim” terenie. Ludzie nie pomagają anonimowym partyzantom, ale kolegom i krewnym.

„Czarny” od „Babinicza”

Wiosną 1946 r. w rejonie Wielunia powstaje kolejny oddział KWP. Dowodzi nim 25-letni podporucznik Alfons Olejnik, ps. „Babinicz”. Dołącza do niego 47-letni już Jan Świątek.

Możliwe, że znali się wcześniej – obaj pochodzą ze Skomlina. Z relacji wiemy, iż młody dowódca ufa doświadczeniu Świątka, który dostaje funkcję szefa kompanii. Utrzymuje dyscyplinę, organizuje szkolenia z obsługi broni, a także edukacyjne: o polityce.

W wykładach, które „Czarny” – taki przyjął pseudonim – prowadzi dla dwukrotnie młodszych podwładnych, mowa jest też o tym, czym jest komunizm, oraz o Katyniu.

A ponadto opiekuje się żołnierzami. Chłopcy, w większości dwudziestolatki, traktują sierżanta „Czarnego” nie tylko jak dowódcę. Jeden z nich powie po latach: – On nam wszystkim ojcował.

W konspirację angażuje się też Sabinka. Pomaga ojcu. Jest łączniczką, przewozi mel-dunki i pocztę. Pewnego dnia przyjeżdża na dłuższą do oddziału, który kwatruje pod wsią Parzymiechy. Z aparatem fotograficznym, by robić zdjęcia chłopcom. Wspomina: – Dowódca pozwolił rozpaść duże ognisko, przy którym siedzieliśmy i całą noc prześpiewaliśmy. Razem z nimi śpiewałam „Hej strzelcy wraz, nad nami orzeł biały”... – Sabina przerywa, uśmiecha się, sięga w pamięć. Przypomina sobie twarz.

Nadchodzi listopad 1946 r. Oddział „Babinicza” został rozformowany na „meliny”, by przetrwać zimę, na przełomie 1946/47 roku wyjątkowo ciężką i mroźną. Jan Świątek wraca do rodziny, do Częstochowy. Kontakt między ukrywającymi się utrzymują sztafety łączników. Wśród nich Sabina, która staje się główną łączniczką ojca. Wyglądająca jak dziecko, drobna (raptem metr pięćdziesiąt wzrostu) i niebudząca podejrzeń, krąży między Częstochową i Wieluniem. ➔

→ Wymaga to nie tylko odwagi, ale też determinacji. Bo sytuacja jest coraz trudniejsza, także psychologicznie: UB likwiduje kolejne oddziały KWP, w pokazowych procesach zapadają wyroki śmierci. I także o nadzieję coraz trudniej. W styczniu 1947 r. wybory, które – jak wierzą również Świątek i Olejnik – wygra PSL, zostają sfałszowane.

3 lutego 1947 r. funkcjonariusze UB wpadają do mieszkania Świątków. Aresztują Janę, Sabinę i drugą siostrę, Genowefę. Na wolności pozostaje żona Stanisława (też pomagała mężowi, ale UB o tym nie wie) i dwie siostry, które nie brały udziału w konspiracji. Swoje dziewiętnaste urodziny, 22 lutego, Sabinka spędzi już w areszcie MUBP.

W celi śpiewałam

W celi częstochowskiego UB Sabina jest zamknięta cztery miesiące. Razem z innymi więźniami i więźniarkami (w areszcie nie ma podziału na cele kobiece i męskie) śpi na podłodze, marznie i czeka na przesłuchania. Czasem stuka w ścianę, próbując alfabetem Morse'a porozumieć się z innymi celami. Trudno znosi zamknięcie. Wspomina: – Nie mogłam usiedzieć, więc chodziłam w kółko i śpiewałam partyzanckie piosenki. Tym się trzymałam i ze śledztwa wyszłam cała.

Kruczej, zdawałoby się, ale za to pogodnej dziewczynie starają się pomóc inni więźniowie. Sabina opowiada: – W celi był kibel, bardzo wysoki. Mnie było tam bardzo niewygodnie siedzieć. Chłopcy wykombinowali na ten twardy metalowy kibel miękkie siedzisko z materiału. Nie wiem, jak je zdobyli.

W częstochowskim UB tortury wobec mężczyzn są normą. Wobec kobiet funkcjonariusze czasem stosują bicie, ale częściej sięgają po inne metody.

Z wielogodzinnych przesłuchań Sabina pamięta szczególnie jedno zdarzenie: gdy znów odmawia zeznań, jeden z funkcjonariuszy, „typ wyjątkowo paskudny i ordynarny”, zaczyna grozić.

Czy grozi jej gwałtem? Tego Sabina Świątek nie powie, nawet dziś. Mówi, że chce zachować to dla siebie. Choć, zaznacza, pamięta wszystko, każde słowo.

Gdy tak opowiada, zapada się na chwilę w sobie. Milknie, drętwieje. Trudno jej potem wrócić do przerwanego wątku.

31 maja 1947 r. zapada wyrok. Jan Świątek zostaje skazany na 12 lat więzienia. Tylko 12 lat – jak na owe czasy, to wyrok niewysoki. Być może niedawnemu szefowi oddziału pomagają dawni podkomendni, którzy nadal trzymają się razem. Wiedząc o procesie, kilku z tych, którzy wcześniej skorzystali z ogłoszonej pod koniec lutego 1947 r. amnestii, wysłała do sądu listy, w których wstawiają się za Świątkiem. Piszą, że



ZBIORY SABINY ŚWIĄTEK

Sabina Świątek, wrzesień 1946 r.

jego „rozsądne rady” hamowały „Babinicza” (ten już nie żyje, więc nie mogą mu zaszkodzić) i „uratowały życie” kilku osób.

Pozostali sądzeni wraz z „Czarnym” otrzymują kilkuletnie wyroki, ich wykonanie zostaje umorzone na mocy amnestii. Także Sabina wychodzi na wolność.

Zapytana dziś, czemu angażowała się w podziemie, odpowiada: – Tak było trzeba.

Pod obserwacją UB

Jest więc połowa 1947 r., ojciec siedzi w więzieniu, a Sabina razem z matką zajmuje się domem i chorą siostrą. Przejmują wiele obowiązków: trzeba zarobić na rodzinę. Regularnie jeżdżą też z matką do więzienia, do ojca, z paczkami żywnościowymi – i z pociechą, bo był policjant, weteran POW, AK i KWP, człowiek, zdawałoby się, twardy, źle znosi uwięzienie.

Tymczasem Urząd Bezpieczeństwa nie zaprzestaje obserwacji rodziny Świątków. Wręcz przeciwnie: środowisko byłych żołnierzy konspiracji, wojennej i powojennej, jest nadal intensywnie rozpracowywane.

UB chce wiedzieć wszystko: kto gdzie mieszka, z kim się spotyka, co mówi. Odtwarzane są struktury i skład osobowy podziemnych organizacji. Ostatnia, jak się zdaje, aktualizacja „bazy danych” (już) Służby Bezpieczeństwa o KWP będzie mieć miejsce w drugiej połowie lat 70. Każdy zidentyfikowany weteran otrzyma swoją osobistą kartę, z aktualnym adresem i miejscem pracy.

Ale na razie jest koniec lat 40. i początek 50. Aby „kontrolować operacyjnie” środowisko niedawnych konspiratorów, UB werbuje intensywnie konfidentów. Tajnym współpracownikiem zostaje również przyjaciółka Sabiny. Donosi o treści prywatnych roz-

mów, jakie toczą się w rodzinie Świątków. Pojawiają się także donosy na innych ludzi, związanych z oddziałem „Babinicza”.

W ten sposób funkcjonariusze UB dowiadują się, gdzie w 1947 r. Świątkowie mieli ukrytą broń i zdjęcia, które Sabinka robiła członkom oddziału: pod poluzowaną deską na strychu. Ojciec i córka przemilczeli to podczas przesłuchań. Ale UB nie zdobędzie zdjęć – zostaną zniszczone.

Tymczasem Sabina pracuje jako przedszkolanka. Wciąż jeździ do ojca z paczkami. Zdawałoby się, że próbuje dostosować się do warunków „ludowej” Polski.

Ale to mylne wrażenie.

Wyrok: 10 lat

Jest rok 1951, gdy w okolicach Częstochowy powstaje nowa organizacja podziemna: Liga Walki Patriotów Polskich. Jej członkowie chcą nadal walczyć z komunizmem, gromadzić broń; mają już nawet kilka pistoletów.

Na razie ograniczają się do ulotek. Udaje im się zdobyć maszyny do pisania – tak sporządzone, nieliczne siłą rzeczy ulotki rozrzucają po mieście.

Ale dla władz nawet tych kilkanaście osób, część z partyzancką przeszłością, jest już „zbrojną bandą”, którą należy zlikwidować.

Jednym z liderów Ligi jest Marian Michalczyk, podczas wojny żołnierz AK, w 1946 r. już raz skazany, na 8 lat (potem złagodzone do 2,5 roku) za przynależność do ZWZ i AK.

Sabina trafia na Michalczyka, starszego o cztery lata. Zaprzyjaźniają się. Kilka razy go odwiedza, pomaga przenosić jego pocztę, dokumenty. Udziela mu też schronienia w rodzinnym domu, przekazuje żywność.

Czy łączy ich coś więcej? Sabina jest dziewczyną wyjątkowo ładną. Z pewnością też pomaga nie człowiekowi anonimowemu, lecz znajomemu, przyjacielowi.

Spotkania z Michalczykiem to wystarczający powód dla kolejnego aresztowania i procesu. Sabina zostaje oskarżona o to, że od lutego do kwietnia 1952 r. „wspierała nielegalną organizację usiłującą przemocą zmienić ustrój Państwa Polskiego”. Grozi za to od 5 lat do kary śmierci.

Wyroki zapadają w lipcu 1952 r. i są wyjątkowo surowe. Wojskowy Sąd Rejonowy w Stalinogrodzie (jak wtedy nazywają się Katowice) skazuje Sabinę Świątek na 10 lat więzienia. Michalczyk dostaje karę śmierci – to ostatni „kaes”, zasądzony przez ten WSR. Wyrok zostanie mu zamieniony na dożywocie, potem – w ramach „odwilży” w 1956 r. – na 12 lat. Na wolność wyjdzie dopiero w 1961 r.

Sabina siedzi w Grudziądzu i Fordonie (ciężkim więzieniu dla kobiet). Już nie śpiewa. Nie ma też w celi kolegów z partyzantki. Za kratami spędzi 4 lata, do 1956 r.



Sabina Świątek, 2014 r.

Ona, która od dzieciństwa umiała haftować i szyć, w więziennym zakładzie haftuje naramienniki dla wojska i milicji. Praca przy kiepskim oświetleniu zepsuje jej wzrok.

Nie poddawaj się

Jest rok 1956, władze ogłaszają amnestię. Także Sabina i Jan wracają do domu. Z wyrokami, obserwowani przez starą-nową bezpiekę, próbują ułożyć sobie życie. Tułają się po Polsce – z taką przeszłością trudno jest znaleźć pracę. A zły los nie daje im spokoju.

Rodzice przez kilka lat mieszkają w okolicach Koszalina na tzw. Ziemiach Odzyskanych; Jan dostaje tam pracę jako leśnik, po znajomości (inaczej się nie da). Sabina pracuje przez kilka lat w przedszkolu w Olsztynie koło Częstochowy, ale zostaje zwolniona – ktoś się orientuje, że była skazana za pomoc „bandom” (wyroki ciągną się za nią: niemal każdą pracę dostaje dzięki życzliwości ludzi – oficjalne tzw. „zatarcie” jej wyroku nastąpi w 1970 r.). Kończy kolejne kursy, w tym – korespondencyjnie – kurs księgowej. Przez kilka lat mieszka w Białej Podlaskiej. Tymczasem matka, wycieńczona latami troski o najbliższych, choruje. Przydaje się też wypadek: cierpiąca na epilepsję siostra ginie tragicznie. Rodzina znów się przenosi. W końcu ich drogi zataczają koło – wszyscy wracają do Częstochowy...

Sabina nie wychodzi za mąż. Choć przez chwilę ma swoją własną rodzinę: znajduje ukochanego, mają synka. Ale zły los znów daje o sobie znać. Po ośmiu miesiącach życia jej Jarek umiera (cierpiał na nieuleczalną wtedy chorobę), z mężczyzną się zostaje.

Nie poddaje się. Kończy kolejne kursy. Po „zatarciu” wyroku znajduje lepszą pracę.

W 1980 r. angażuje się w Solidarność. Roznosi ulotki, gazety z drugiego obiegu. Zaprzestaje po ogłoszeniu stanu wojennego. Przynajmniej teraz nie będą jej sądzić.

W 1984 r. przechodzi na emeryturę. I wkrótce zostaje sama. Wcześniej, w 1982 r., umiera jej matka, w 1985 r. ojciec.

Kablem, kołkiem, prętem

Jest maj 1990 r. i pierwsze w pełni wolne wybory: samorządowe. Sabina jest członkiem Komisji Wyborczej nr 29 w Częstochowie.

I szuka sprawiedliwości.

W 1991 r. Sejm przyjmuje ustawę, na mocy której sądy mogą uznać za nieważne wyroki wydane po 1944 r. wobec osób działających „na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego”. Żyjący jeszcze skazani – i bliscy tych, którzy zmarli – korzystają z tej możliwości. Choć nie jest to proste: wielu skazano jako bandytów – kryminalizacja podziemia była elementem walki z nim – więc teraz muszą dowodzić, że byli skazani z przyczyn politycznych.

Sabina wnosi sprawę i wygrywa. Sąd w Katowicach unieważnia wyrok z 1952 r.; stwierdza, że działała dla niepodległej Polski. Otrzyma też skromne odszkodowanie.

Sprawiedliwości postanawia dojść również dla ojca. Tu rzecz okazuje się trudniejsza, biurokracja irytuje: w 1947 r. Częstochowa, gdzie mieli proces, należała do województwa kieleckiego, Sabina jest odsyłana przez kolejne sądy. Ale zaciska zęby, zbiera dokumenty. Wreszcie, po roku, za nieważny zostaje uznany także ich wyrok z 1947 r.

Nie udaje się natomiast znaleźć winnych. Pierwsze śledztwo w sprawie torturowania i mordowania więźniów przez MUBP w Czę-

stochowie rusza w połowie lat 90. Jednym z impulsów do jego podjęcia są publikacje w lokalnej prasie: znajduje się świadek, teraz wiekowy, który stracił ojca – zamęczonego w śledztwie. Świadek relacjonuje, że natrafił wtedy na otwarty masowy grób, a w nim kilkadziesiąt nagich ciał. Później na tym miejscu miało powstać osiedle mieszkaniowe. Jednak śledztwo, prowadzone – jak się zdaje – dość niemrawo, kończy się niczym.

Kolejne ruszy, gdy powstanie IPN. Śledczy docierają do kilkudziesięciu żyjących ofiar, także do Sabiny. Składa zeznania.

Ale na sprawiedliwość jest za późno: śledztwo kończy się umorzeniem, nie udaje się ustalić żyjących sprawców. Jednak śledczy gromadzą duży materiał, który dziś może być źródłem dla historyków: ustalają, jakie metody tortur stosowano w MUBP w Częstochowie. Były to: bicie kablem, drewnianym kołkiem lub żelaznym prętem; wybijanie zębów; zmuszanie więźniów, także kobiet, by siadali na nodze odwróconego stołka (wbijała się w odbyty); rażenie prądem; nakłuwanie rąk igłą; pozorowane egzekucje; łamanie rąk; osadzenie w nieogrzewanej celi, w tym także kobiety z dzieckiem, które karmiła piersią (dziecko zmarło).

Tato byłby dumny

Choć w latach 90. spotkania weteranów KWP odbywają się już często – żyje ich jeszcze wielu – Sabina w nich nie uczestniczy. – Nikt o tym mi nie powiedział – powie dziś.

Mieszka samotnie. Ci, których wtedy znała, albo nie żyją, albo jak ona przez lata nie mieli kontaktu z dawnymi kolegami. Ale może trudno kogoś winić, że zapomniał o drobnej łączniczce, która czasem tylko pojawiała się w leśnym obozie... W każdym razie, być może również dlatego, że po 1989 r. pozostaje poza środowiskiem weteranów, nie dostanie do dziś żadnego odznaczenia.

Za to otrzymuje coś innego: stopień podoficera, w stanie spoczynku. Starania o taką nominację podejmuje w połowie lat 90. Z powodzeniem: Sabina Świątek awansuje na plutonowego, a później na sierżanta (co ma wymiar symboliczny, żadne ulgi czy świadczenia z tego tytułu nie przysługują).

W przeciwieństwie do wielu weteranów, o kolejne awanse już się nie stara.

Czy dlatego, że nie chce mieć stopnia wyższego niż ten, który miał ojciec?

88-letnia Sabina Świątek uśmiecha się łobuzersko. Na chwilę w tym uśmiechu widać małą dziewczynkę.

Tato byłby dumny.

©
KRZYSZTOF PIĘCIAK

Autor jest studentem historii UJ, opracowuje dzieje oddziału KWP Alfonsa Olejnika „Babinicza”.

Zdjęcie z buta

KRZYSZTOF PIĘCIAK

Jest stare, mocno zniszczone. Na nim: ośmiu chłopaków. Kilku w mundurach, reszta w ubraniach cywilnych. Wszyscy z bronią. W tle las. Z tyłu lapidarny opis: „Jesień 1944”.

Chłopcy na zdjęciu wyglądają dorośle, na 18-20 lub więcej lat. Ale poważne miny i broń mylą. Są młodszy, a najmłodszy ma tylko 15 lat. Uzbrojenie, jak na warunki partyzantkie, jest solidne: karabiny, pistolety, niemiecki erkaem. Do tego te mundury. Czyżby mobilizacja? W końcu jesienią 1944 r. front wschodni jest blisko miejsca, gdzie zrobiono to zdjęcie – w okolicach Częstochowy, pozostającej pod okupacją niemiecką.

„Jędrus” od „Marcina”

Cofnijmy się o kilka miesięcy. Wtedy to leśny oddział, którego żołnierzy uwieczni potem anonimowy fotograf, powiększa się o dwóch ludzi: 15-letniego Andrzeja Sikorskiego, który przybiera pseudonim „Jędrus”, i jego wujka Wiesława Hinnera.

Obaj trafiają pod Częstochowę z Warszawy, gdy na początku 1944 r. nasila się tam niemiecki terror. Po latach Sikorski, rocznik 1929, będzie wspominać: – Do lasu, do AK, poszedłem w lutym 1944 r. razem z wujem. Niemcy robili straszne łapanki na roboty do Rzeszy i do budowy okopów. Matka mówiła: może lepiej wyjedź, bo jak ciebie złapią, to nie wiem, oszaleję wtedy sama.

W lesie trafiają do drużyny sierżanta Zenona Marcinkowskiego, ps. „Grot”, w oddziale AK porucznika Mieczysława Tarchalskiego „Marcina”. Sikorski pamięta, że oddział był silny, miał pluton konny i przez pewien czas własne tabory z zaopatrzeniem.

Jedna z pierwszych akcji, w których on bierze udział, ma miejsce już 19 marca. Zgrupowanie „Marcina” opanowuje powiatowe miasto Włoszczowa. Gdy Sikorski o tym opowiada, ożywia się i zaczyna gestykulować: – Tak, Niemcy siedzieli cichutko! A myśmy to, co było potrzebne, zabrali: żywność, broń. Ogołociliśmy Szwabów, ile tylko się dało.

Pamięta też wspę. Opowiada, że wywiad AK przekazał informację, że dwóch żołnierzy z oddziału, o pseudonimach „Sosna” i „Motor”, donosi do Gestapo. Przyszedł rozkaz ich rozstrzelania. – Ilu ludzi oni wydali, nie wiadomo. To wszystko było... no, straszne.

Bez grobów

Przyjemniejszym wspomnieniem była wizyta w oddziale dziewczyny: łączniczki, która uciekła z Warszawy po upadku powstania. Była kilka lat starsza od większości żołnierzy z jego drużyny, ale Sikorski z przekonaniem twierdzi, że to w nim właśnie podkochiwała się najbardziej... Wtedy nie wiedział jeszcze, że prócz wujka został w Polsce tylko on z całej rodziny.

Gdy wcześniej uciekał z Warszawy, zostawił w niej matkę – samą, bo ojciec zniknął już wcześniej. Zniknął – to właściwe słowo. Marian Sikorski, podczas I wojny światowej żołnierz Legionów, od 1937 r. oficer Korpusu Obrony Pogranicza stacjonujący w Mołodecznie, po wrześniu 1939 r. zaginął bez śladu. Po ujawnieniu Zbrodni Katyńskiej rodzina była przekonana, że również on tam zginął.

Tymczasem wkrótce potem, jeszcze w 1943 r., do Polski trafiła kartka z Portugalskiego Czerwonego Krzyża, informująca lapidar-



ANNA PIĘCIAK

Z prawej: drużyna z oddziału AK „Marcina” w lasach pod Włoszczową, jesień 1944 r. 15-letni Andrzej Sikorski leży pierwszy z lewej. U góry: Andrzej Sikorski dziś.



nie, że Marian Sikorski żyje. Więcej syn miał się dowiedzieć dopiero po wojnie. Okazało się, że ojciec wyostał się ze Związku Sowieckiego z armią Andersa, walczył w II Korpusie, a po 1945 r. osiadł w Anglii. Do Polski wrócić nie mógł: żołnierze KOP byli szczególnie ścigani przez UB. Zmarł w 1956 r., nie zdążył zobaczyć się z Andrzejem. Dziś nie ma nawet grobu, na który syn mógłby pojechać: mogiłę na wojskowym cmentarzu w Wickham splantowano.

Także matki Andrzeja Sikorskiego już nie zobaczył. Zginęła podczas Powstania Warszawskiego, prawdopodobnie podczas rzezi cywiliów na Woli. Również ona nie ma grobu.

Nastoletni weteran

Jest rok 1945. Choć zgodnie z rozkazem generała Okulickiego AK zostaje rozwiązana, dla wielu jej żołnierzy walka trwa. Wiosną 1945 r. w regionie Łódź-Częstochowa-Radomsko tworzy się nowa organizacja: Konspiracyjne Wojsko Polskie, złożone głównie z akowców. Twórcą KWP jest Stanisław Sojczyński, ps. „Warszyc” – przed wojną nauczyciel i podporucznik rezerwy, a podczas niemieckiej okupacji od 1942 r. zastępca komendanta i dowódca Kedywu Obwodu Radomsko AK. Sojczyński wsławia się wtedy akcją odbicia więźniów z niemieckiego więzienia w Radomsku – wkrótce z tego samego więzienia, ale już UB, będzie musiał znów odbijać swych żołnierzy. I znów skutecznie.

Sojczyński ma wśród podwładnych duży autorytet. Gdy zakłada KWP, jej trzon stanowią ludzie, którzy znali go wcześniej. KWP – jak przyzna potem w swych analizach UB – to organizacja wielka: ogromna większość spośród jej członków i współpracowników, którzy ją wspierają, to chłopci. Nie tylko byli żołnierze AK i NSZ, ale także ci, którzy „za Niemca” byli za młodzi, a teraz mają po 17–18 lat i chcą walczyć – mimo rozmaitych „marchewek”, jak reforma rolna, którymi komuniści usiłują pozyskać wieś.

Wielu z nich uważa się – jak to ujmie wówczas jeden z nich, Alfons Olejnik, ps. „Babinicz”, dowódca oddziału KWP, do którego trafi też „Jędrus” – za „zbrojne ramię” legalnego i opozycyjnego PSL.



ZBIORY ANDRZEJA SIKORSKIEGO

Wtedy jeszcze, przed referendum z 1946 r., a zwłaszcza wyborami do parlamentu zapowiedzianymi na 1947 r., silna jest wiara, że PSL może legalnie wygrać i objąć władzę. Wszak zachodni alianci gwarantują, że wybory w Polsce będą wolne...

Do KWP trafia też Sikorski, gdyż – jak dziś powie – „mnie to wszystko wkurzało po wojnie”. Przez znajomego leśnika, też partyzanta, zdobywa kontakt i wiosną 1946 r. trafia do oddziału porucznika „Babinicza”. Wspomina, że „tu była dyscyplina wojskowa, tak jak w armii”.

Latem 1946 r. oddział „Babinicza” liczy ok. 60 ludzi. Działa w rejonie między Wieluniem i Częstochową. Wielu z jego żołnierzy to chłopcy, którzy nigdy wcześniej nie walczyli – dlatego na nadal młodszego od nich, bo dopiero 17-letniego „Jędrusia” (pseudonim zachował), patrzają jak na weterana.

Obława w Wapienniku

Docenia go też „Babinicz”: Sikorski dowodzi drużyną. Gdy oddział atakuje posterunek MO w miasteczku Pajęczno – milicjanci z tego posterunku byli uważani za wyjątkowo dokuczliwych dla okolicznej ludności – to „Jędrus” dowodzi grupą szturmową.

Opowiadając o tej akcji, 87-latek wstaje, gestykuje. Z bliskiem w oku mówi, że milicjanci „obwarowali się na posterunku, niełatwo było ich zdobyć. No to ja z panzerfausta odstrzeliłem, brama cała wyleciała, wpadliśmy wszyscy” – Sikorski pokazuje, jak strzelał z panzerfausta, poniemieckiej jeszcze „pięści pancernej”. – No i poddali się milicjanci. Dwóch tam było takich drani, ludzie się na nich skarżyli bardzo. No i tych dwóch żeśmy od razu rypnęli – wspomina. Pozostałym milicjantom zaproponowali dołączenie do oddziału, a gdy odmówili, „Babinicz” puścił ich wolno. Sikorski jeszcze kilka razy wykonywał wyroki na komunistach; dziś opowiada o tym niezbyt chętnie. Wydaje się nawet, że na tym tle doszło do sporu między „Jędrusiem” a „Babiniczem”, który – jak wynika z relacji jego żołnierzy – starał się ograniczać ofiary także po drugiej stronie, wśród zwykłych milicjantów i żołnierzy LWP.

Gdy jesienią 1946 r. „Babinicz” rozwiązuje czasowo oddział – podzieleni na grupki jego ludzie mają spędzić zimę na wiejskich kwatrach – nastroje są kiepskie. Wprawdzie mowa jest o tym, że wiosną zbiorą się na nowo, ale niewielu w to wierzy. Ci niemający rodzin, u których mogliby przezimować, idą „na meliny”.

Nocą z 30 na 31 stycznia 1947 r. oddział UB z Wielunia otacza gospodarstwo położone na skraju wsi Wapiennik koło Działoszyna. Ukrywa się tu sześciu ludzi. Wśród nich: Sikorski, chłopcy z jego drużyny, a także ciężko ranny, postrzelony wcześniej podporucznik Jan Siewiera „Wicher”, zastępca „Babinicza”. Obława UB dociera tu właśnie w ślad za Siewierą.

Gdy orientują się, że gospodarstwo jest otoczone, jest za późno. Siewiera mówi, aby go zostawili. Sikorski protestuje. Wspomina: – Nie mogliśmy nieść „Wichra”, miał postrzał w brzuch. Wydał rozkaz, żebyśmy się przebijali.

Udaje się tylko „Jędrusiowi”. Wybiega z chaty jako pierwszy, rzuca dwa ostatnie granaty i zaraz po eksplozjach pędzi w ciemność. Dwóch kolegów ginie, dwóch dalszych dostaje się do niewoli (w więzieniu będą siedzieć do połowy lat 50.). Ranny „Wicher” trafia w ręce UB. Torturowany i przesłuchiwany jeszcze na miejscu, w Wapienniku, umiera. Kilka dni wcześniej życie traci „Babinicz”: aresztowany, skazany na śmierć przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Łodzi i rozstrzelany.

Miejsce, gdzie UB ukrył zwłoki Olejnika, do dziś jest nieznane. Analiza zachowanych akt UB sugeruje, że zwłoki Siewier i dwóch jego żołnierzy zakopano na cmentarzu parafialnym w Wieluniu, w anonimowym grobie.

A potem wędrowałem

Sikorski początkowo chroni się na pobliskiej „melinie”. Domyśla się, że oddział już nie istnieje. Postanawia skorzystać z amnestii: ujawnia się, zdaje broń i natychmiast jedzie na drugi koniec kraju – na północ, na tzw. Ziemie Odzyskane. Jak dziś mówi, „wędruje” po tej części powojennej Polski. Zdjęcie – to z jesieni 1944 r., które nosił przy sobie cały czas – chowa do buta. Boi się, że znalezione przez UB, może służyć jako dowód. Nosi je w bucie przez 10 lat.

W 1949 r. osiedla się w Gdyni, gdzie spotyka dwóch kolegów, jeszcze z oddziału „Marcina” – wielu członków AK i powojennej konspiracji sądzi, że na terenach poniemieckich znajdzie anonimowość. Sikorski pracuje w porcie, później pływa we flocie handlowej. Żeni się, ma dwóch synów. W 1956 r. dostaje z Anglii informację, że ojciec zmarł. Długo będzie się potem starać, by ufundować mu pamiątkową tablicę na angielskim cmentarzu.

Gdy w 1980 r. jeden z synów zaangażuje się w Solidarność, lokalna Służba Bezpieczeństwa odnotuje, że związkowiec jest „synem bandyty”.

Pseudonimy

Po 1989 r. Andrzej Sikorski uczestniczy w zjazdach weteranów we Włoszczowej, którą kiedyś opanowali wraz z oddziałem „Marcina”. Żonie i synom o swojej partyzanckiej przeszłości opowie dopiero w... 1992 r.

Emerytura wojskowej czy awansów nie dostał – i, jak twierdzi, nie chce. Mówi, że starczy mu stopień sierżanta, nadany przez „Babinicza”. Krzyż Zasługi RP przyjmie dopiero w grudniu 2015 r. Zostały mu wspomnienia. I zdjęcie z buta, pamiątka najcenniejsza.

Na fotografii, zrobionej w 1999 r. podczas spotkania weteranów KWP w miejscu, gdzie obozował „Babinicz” – w lesie koło Wielunia – stało ich kilkunastu starszych mężczyzn. Dziś z oddziału żyje już tylko trzech: „Żar”, „Stuk” i on, „Jędrus”.

Gdy rozmawiają, teraz już tylko przez telefon, mówią do siebie pseudonimami, pod jakimi się poznali. ©

Gimnazjaliści '50

WOJCIECH PIĘCIAK

Zapatrzeni w rodziców i starszych braci, założyli szkolną organizację. UB nie wpadł na ich trop, więc nie został po niej żaden ślad w archiwach. Byli ostatnim pokoleniem powojennej konspiracji.

Nigdy nie opowiadał tej historii. Nigdy aż dotąd. Bo o czym tu, myślał sobie, opowiadać: o grupie kilkunastu nastolatków z Gimnazjum Handlowego w Tarnowie, chłopaków i dziewczyn, którzy w 1950 r. założyli podziemną organizację. Nazywając ją, jakżeby inaczej – Biało-Czerwoni. W skrócie: BC. Przecież w porównaniu z tymi, którzy byli przed nimi, nie zrobili wiele: organizowali samokształcenie, kolportowali informacje z zachodniego radia. Ograniczając się, świadomie, do pracy, którą socjolog nazwałby może formacyjno-wychowawczą.

Owszem, zastanawiali się, czy nie zdobyć broni i nie nauczyć się nią posługiwać. Dyskutowali o tym. Ale przeważało zdanie większości, by tego nie robić. Że walka zbrojna nie ma już szans powodzenia. Choć niektórzy koledzy naciskali, chcieli walczyć. Jak ojcowie, jak starsi bracia. Zwłaszcza Staszek i Janek naciskali.

Ale zdecydował głos większości. Może na szczęście dla nich, Biało-Czerwonych. Bo gdyby się uzbroidli, wtedy może, przedź czy później, Urząd Bezpieczeństwa wpadłby na ich trop? A tak tarnowscy ubecy ich nie wykryli.

To paradoks sytuacji: fakt, że nie zostali wykryci i aresztowani, że nie trafili np. do więzienia dla „młodocianych przestępców” w Jaworznie, które działalność podjęło w 1951 r., ma dziś taki skutek, że w archiwach nie ma po nich śladu. Zostaje więc pamiętać – tych, którzy jeszcze żyją.

Koledzy z powiatu

Staszek, Janek... „Lel” zapisuje na kartce ich nazwiska, obok innych. Kartka zapełnia się powoli, nie od razu. Pamięć szwankuje, wiek ma swoje prawa, gdy ma się 81 lat. Zwłaszcza że wcześniej nie spisał żadnych wspomnień. Odtworzenie twarzy i faktów z czasu, gdy miało się 15-16 lat, musi trwać.

„Lel” to jego pseudonim, pod którym chciałby pozostać. Przynajmniej na razie. Jeśli nie wypada podawać nazwisk innych, to także on nie chciałby wystąpić w tej historii pod nazwiskiem. A nazwisk nie wypada podawać – tak uważa „Lel” – dopóki nie odnajdzie przynajmniej tych kolegów i koleżanek, o których słyszał, że żyją. Bo może oni

nie życzą sobie, aby poznano ich nazwiska? Przecież ich losy różnie się potem toczyły, po 1953 r., gdy skończyli gimnazjum, gdy ich organizacja siłą rzeczy przestała istnieć, i gdy poszli dalej swoimi drogami. Jeden kolega trafił nawet do milicji... Choć kryminalnej, zastrzega „Lel”, nie politycznej.

Na razie będzie więc bez nazwisk.

Gdy wtedy, w 1950 r., wybierali pseudonimy, on wybrał właśnie taki: „Lel”. Skrót od nazwiska Joachima Lelewela, XIX-wiecznego historyka i polityka, uczestnika Powstania Listopadowego. Wszyscy mieli pseudonimy.

Motorami grupy byli Staszek i Janek – ci, co najmocniej optowali za zdobyciem broni. Ojciec Janka był podczas wojny dowódcą oddziału AK w powiecie Dąbrowa Tarnowska. Gdy się spotykali, Janek powtarzał opowieści ojca, jak w 1944 r. rozbili nad Wisłą oddział Niemców i Ukraińców.

Dyskusje, wiersze, nasłuch

Dąbrowa Tarnowska – to miejsce, ten powiat nie był bez znaczenia. Ustalili bowiem, wspomina dziś „Lel”, że do ich organizacji mogą należeć tylko chłopaki i dziewczyny z ich klasy (gimnazjum było koedukacyjne). I tylko pochodzący z wiosek z tego powiatu, którzy przyjechali na naukę do Tarnowa.

A może wcale tego nie ustalali, tylko tak wyszło? Po prostu ufali sobie, jako krajanie. A że matka „Lela” stąd pochodziła, trzymał z nimi, a nie z „tarnowskimi” – czyli z drugą grupą, która utworzyła się w klasie. „Tarnowscy”, twierdzi „Lel”, nie wiedzieli o BC.

W ogóle w szkole, wspomina, nikt o BC nic nie mówił. Widzieli, co się dzieje. Pewnego dnia zniknął nauczyciel. Krążyły domysły, że został aresztowany lub się ukrywa (po latach „Lel” dowie się, że był on w WiN). Krążyły też podejrzenia, iż ktoś z nauczycieli donosi. I że informatorem może być jeden z uczniów, ten który zbyt często biegał do zastępcy dyrektora szkoły (zastępcą nauczał ekonomii politycznej socjalizmu).

Nikt z dorosłych nie powinien był więc nic wiedzieć. Ani rodzice, ani profesor od polskiego, o którym mówiło się, że wcześniej wykładał na lwowskim uniwersytecie. Jego wykładów – właściwie opowieści, o literaturze – słuchali, mówi „Lel”, jak zaczarowani.

Pewnego dnia odejść musiał też ich katecheta, ksiądz Jan, który pod koniec II klasy zorganizował dla uczniów zamknięte rekolacje. Z ich klasy przyszli prawie wszyscy, co zirytowało władze. Ksiądz Jan wygłaszał kazania zapadające w pamięć, zwykle w niedzielę o ósmej rano. Ósemka to była msza dla uczniów, kościół pełniusienki.

Czym więc się zajmowali? Zwykle spotykali się w bursie św. Józefa, gdzie wielu kwaterowało. Bursa była przy dawnej ul. Legionów, wtedy już Stalingradzkiej. Niezbyt daleko od kamienicy, gdzie „Lel” mieszkał z rodzicami i rodzeństwem. Miał więc blisko na spotkania, podczas których dyskutowali o historii i literaturze, a także polityce. Czasem deklamowali wiersze.

Spotykali się też w mieszkaniu „Lela”: siadali wtedy w kuchni albo, gdy było ciepło, na poddaszu i odrabiali razem lekcje, które samoistnie przechodziły w robotę samokształceniową.

I opowiadali historie rodzinne z czasu wojny. Bo nie tylko ojciec Janka, chyba w każdej rodzinie konspirovano. Staszek i Janek, wspomina „Lel”, sprawiali wrażenie, jakby żyli tymi rodzinnymi opowieściami.

„Lel” dużo czytał, uczestniczył więc chętnie w dyskusjach. A że jako jedyny miał radio, słuchał na poddaszu Wolnej Europy – Głosu Wolnej Polski (już nadawała). Albo Londynu. Wieściami dzielił się z resztą.

Czasem jechali też całą grupą poza miasto. Zimą na pobliskie Pogórze, na narty. Latem nad Białą lub Dunajec. Tam, nad rzeką, również prowadzili dyskusje. Czuli się bezpiecznie, wśród swoich.

I tak to trwało, przez trzy lata.

A oto imiona

Czy to było takie prawdziwe działanie? Nad tym zastanawia się dziś „Lel”. Przecież wiele nie zrobili tą swoją pracą, taką spontaniczną, wynikającą, jak powiada, z poczucia, że coś trzeba zrobić...

Staszek i Janek. Ela, Marysia i chyba Władzia. Gienia, z tej parafii, z której pochodziła matka „Lela”. Drugi Staszek i Kaziu. Józek, który mieszka w Zabnie. Kto jeszcze? „Lel” zaznacza tych, o których wie, że nie żyją. Kartka powoli zapełnia się imionami. ©®